

# ZESZYTY JAGIELLOŃSKIE

PISMO UCZNIÓW, NAUCZYCIELI I PRZYJACIÓŁ  
GIMNAZJUM i LICEUM im. KRÓLA WŁADYSŁAWA JAGIEŁŁY W PŁOCKU  
NR 76 SIERPIEŃ 2012, PISMO UKAZUJE SIĘ OD ROKU 2000

---

## *Głośnie czytanie nocą*

*Januszowi Korczakowi*

*w 70. rocznicę męczeńskiej śmierci  
wraz z dziećmi w obozie zagłady w Treblince*



*Międzyszkolny Klub Myśli Polskiej*

*oraz*

*Młodzieżowy Dom Kultury*

*im. Króla Maciusia Pierwszego w Płocku*

**MIĘDZYSZKOLNY KLUB MYŚLI POLSKIEJ  
W LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCYM  
IM. WŁADYSŁAWA JAGIEŁŁY W PŁOCKU**

*4 lata działalności: 2008 - 2012*



*Zajęcia prowadzi: Tomasz Zbrzezny*

*Opiekun Klubu: Wiesław Kopeć*

***Zapraszamy do współpracy nauczycieli i uczniów  
z Gimnazjum i Liceum im. Władysława Jagiełły,  
z innych szkół plockich, szkół Mazowsza  
oraz z całego kraju.***

*(sposób kontaktu podany w stopce redakcyjnej)*

Na czwartej stronie okładki: Korczak i Dzieci Getta. Pomnik dłuta Borisa Saksiera w Yad Vashem.

**Zeszyty Jagiellońskie. Pismo Uczniów, Nauczycieli i Przyjaciół Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Władysława Jagiełły w Płocku**

Redakcja: ul. 3 Maja 4, 09 – 402 Płock; <http://www.jagiellonka.plock.pl>; (024) 364-59-20

[lwjszkola@jagiellonka.plock.pl](mailto:lwjszkola@jagiellonka.plock.pl);

Opiekun merytoryczny projektu: Tomasz Zbrzezny. Opiekun zespołu: Wiesław Kopeć, [wkopec1@wp.pl](mailto:wkopec1@wp.pl)

Zespół redakcyjny: członkowie Międzyszkolnego Klubu Myśli Polskiej.

# Janusz Korczak - Stary Doktor lekarz, pedagog, pisarz, człowiek, który uczył, jak kochać dziecko



Z Wikipedii:

**Janusz Korczak**, właśc. **Henryk Goldszmit**, znany też jako: **Stary Doktor** lub **Pan doktor** (ur. 22 lipca 1878 lub 1879 r. w Warszawie, zm. prawdopodobnie 6 sierpnia 1942 r. w Treblince) – polski lekarz pochodzenia żydowskiego, pedagog, pisarz, publicysta, działacz społeczny.

Prekursor działań na rzecz praw dziecka i całkowitego równouprawnienia dziecka. Wprowadził samorzady wychowanków, które miały prawo stawiać przed dziecięcym sądem swoich wychowawców. W 1926 roku zainicjował pierwsze pismo redagowane w większości przez dzieci - **"Mały Przegląd"**. Pionier działań w dziedzinie resocjalizacji nieletnich, diagnozowania wychowawczego, opieki nad dzieckiem trudnym.

## Młodość i edukacja.

Korczak urodził się w Warszawie w spolonizowanej rodzinie żydowskiej, jako **syn adwokata** Józefa Goldszmita (1844-1896) i Cecylii z domu Gębickiej (1853/4–1920). Rodzina Goldszmitów wywodziła się z Lubelskiego, zaś Gębickich z Kaliskiego; jeden z pradziadków był szklarzem, inny Maurycy Gębicki lekarzem - podobnie jak dziadek Hersz Goldszmit. Groby ojca Janusza Korczaka i jego dziadków ze strony matki (jej grobu nie odnaleziono) znajdują się na cmentarzu żydowskim w Warszawie przy ulicy Okopowej.

W lipcu 1885 posłano Henryka do szkoły przy ul. Freta przygotowującej do nauki w gimnazjum. W latach 1886-1897 uczęszczał do szkoły początkowej Augustyna Szmury przy ulicy Freta, a następnie w 1890 dostał się do ośmioklasowego VII Rządowego Gimnazjum Męskiego na warszawskiej Pradze (obecnie VIII Liceum Ogólnokształcące im. Władysława IV). W wieku 15 lat zanotował w swym pamiętniku: *...padłem w szaleństwo, furję czytania. Świat mi znikł sprzed oczu, tylko książka istniała....*

Ojciec trafił pierwszy raz do zakładu dla psychicznie chorych - z objawami obłądu - w roku 1891. Choroba ojca (przypuszczalnie spowodowana syfilisem) i jego zbyt wystawne życie doprowadziły do kłopotów materialnych. Ojciec zmarł 26 kwietnia 1896. Korczak jako uczeń V klasy, kiedy miał 17-18 lat, udzielał korepetycji, by pomóc w utrzymaniu rodziny a jego matka Cecylia Goldszmit podnajmowała pokoje w mieszkaniu przy ulicy Leszno. Maturę zdawał jako dwudziestoletni, młody mężczyzna.

W 1898 roku rozpoczął studia na Wydziale Lekarskim Cesarskiego Uniwersytetu w Warszawie, na którym studiował sześć lat, powtarzając pierwszy rok (kurs). W początkach 1890 r. z Ludwikiem Licińskim i Zofią Nałkowską poznawał ciemną stronę warszawskiego proletariatu. Jego mentorem był Wacław Nałkowski.

### **Lekarz.**

23 marca 1905 roku otrzymał dyplom lekarza – po wysłuchaniu pięcioletniego kursu nauk medycznych i złożeniu obowiązującego egzaminu. W czerwcu 1905 roku wyjechał do Harbinu powołany jako lekarz w wojnie rosyjsko-japońskiej i za swą służbę awansował do stopnia majora. Pod koniec marca 1906 roku wrócił do Warszawy. Pomiędzy 1903–1912 pracował jako pediatra w Szpitalu dla Dzieci im. Bersonów i Baumanów. Korczak jako lekarz miejscowy korzystał ze służbowego mieszkania na terenie szpitala i świadczył pomoc chorym w każdej chwili. Pensję stanowiło 200 rubli rocznie – w czterech ratach. Ofiarnie wypełniał swe obowiązki. Nie unikał proletariackich części miasta. Od ubogich pacjentów nie pobierał wynagrodzenia, zaś od zamożnych nie wahał się zażądać bajorńskich honorariów. Współpracował z Samuelem Goldflamem, z którym podjął działalność społeczną. Był pod wpływem pediatry Juliana Kramsztyka, brał u niego kursy doształcające dla studentów medycyny. Od 1907 roku dzięki rozgłosowi jaki zyskał publikacjami, stał się znanym i poszukiwanym pediatrą w Warszawie.

W ciągu roku 1907 podnosił swe kwalifikacje w Berlinie. Słuchał wykładów (za które sam płacił) i odbywał praktykę w klinikach dziecięcych, oraz analizował sposoby pracy w specjalistycznych zakładach wychowawczych. W 1911 roku podjął decyzję, że nie założy rodziny. Przychylał się do poglądu o nieposiadaniu tzw. prywatnych dzieci. Wszystkie dzieci, które leczył lub wychowywał, uważał za własne. Późniejsza działalność potwierdziła jego zamierzenia ideowe. Altruistyczne przekonania nie pozwoliłyby mu również na specjalne traktowanie i wyróżnianie małej grupki ulubionych podopiecznych. Nie uważał tradycyjnej rodziny za najważniejsze i podstawowe ogniwo więzi społecznej. Nie akceptował roli, jaką odgrywała ona w chrześcijańsko-konserwatywnych i tradycyjnych żydowskich kręgach społeczeństwa. Z drugiej strony, mógł być uważany – przez samego siebie i innych – za ojca ok. 200 sierot (z domu który prowadził) i kolejnych kilkuset, które opuściły sierociniec w ciągu dziesięcioleci jego działalności pedagogicznej i socjalno-organizacyjnej.

Twierdził, że miejsce dziecka było w towarzystwie jego rówieśników, a nie w zaciszu domowym. Dążył do tego, by dzieci ścierały swe wczesne przekonania i raczkujące poglądy, podlegały procesowi socjalizacji (poprzez wzajemną akceptację) i przygotowywały się do dorosłego życia, które nie byłoby ani idylliczne, ani zbliżone do "cichego kąta domowego". Starał się zapewnić dzieciom bez troski (co nie znaczy pozbawione obowiązków) i toczące się prostą i niewyszukaną ścieżką – dzieciństwo. Nie narzucał im żadnych limitów. Traktował je poważnie, mimo dziesiątków lat różnicy wieku i prowadził z nimi otwarte dyskusje, a nie aplikował im ciągu poleceń do wykonania. Uważał, że dziecko powinno samo zrozumieć i emocjonalnie przeżyć daną sytuację; doświadczyć jej; samo wyciągnąć wnioski i ewentualnie zapobiec przypuszczalnym skutkom – niż być sucho poinformowane o fakcie (dokonanym lub nie) i o jego następstwach – przez wychowawcę.

Pomiędzy 1914 i 1918 rokiem był młodszym ordynatorem szpitala dywizyjnego na froncie ukraińskim. Następnie został odwołany do pracy lekarskiej w przytułkach dla dzieci ukraińskich pod Kijowem. Pracował – na krótko – dla domu wychowawczego dla chłopców polskich w Kijowie, który prowadziła Maryna Rogowska-Falska. W 1918 roku Korczak wrócił do Warszawy i czasowo pełnił służbę lekarza w szpitalu epidemicznym w Łodzi i na Kamionku pod Warszawą.

### **Działalność literacka i radiowa.**

Korczak w 1898 roku wziął udział w konkursie na sztukę teatralną, ogłoszonym przez Kurier Warszawski i Paderewskiego. W marcu 1899 roku konkurs rozstrzygnięto. Na konkurs wysłał czteroaktowy dramat *Którędy?* i podpisał się: Janasz Korczak. Ten pseudonim literacki zaczerpnął z powieści Kraszewskiego *Historia o Janaszu Korczaku i o pięknej miecznikównie*. Forma Janasz (zamiast Janasz) powstała wskutek błędu zecera składającego informację o wynikach konkursu. Sama sztuka nie zachowała się. Pomiędzy 1899 i 1901 rokiem publikował w czasopiśmie *Czytelnia dla Wszystkich*.

W lutym 1900 roku pod innym imieniem: Hen-Ryk, zaczął współpracować z tygodnikiem satyrycznym "Kolce" jako współautor zespołowo pisanej sensacyjnej powieści: *Lokaj*. Spełniła się przepowiednia jego nauczyciela z warszawskiego gimnazjum, który orzekł, podczas nakrycia chłopca

na potajemnym czytaniu w czasie lekcji, że będzie pisał do nic nie znaczących gazet – 3 grosze za wiersz. Ta wyrocznia częściowo minęła się z prawdą, bo stawka za pojedynczy wiersz, dla początkującego literata była dużo niższa. Od 1901 roku zaczął pisać felietony. W 1905 roku ukazała się seria publikowana w "Kolcach" - *Koszalki Opalki*. Od 1901 do 1904 roku opublikował w "Kolcach" ich ponad dwieście.

W tym samym roku wyszła drukiem powieść *Dzieci ulicy*, najpierw w odcinkach w "Czytelnicy dla Wszystkich" (nr 1–18), a następnie w wydaniu książkowym. Pomiędzy 1904 i 1905 okiem był felietonistą w czasopiśmie "Głos". Prowadził tam rubrykę *Na mównicy* sygnowane literą "g.". W latach 1904-1905 na łamach "Głosu" ukazywała się powieść w odcinkach *Dziecko salonu*. W tym czasie opublikował w "Głosie" około 60 felietonów. W 1906 roku powieść *Dziecko salonu* pojawiła się w wydaniu książkowym i przyniosła mu międzynarodowy rozgłos. W tym samym roku zaczął pisać dla "Przeglądu Społecznego". Pomiędzy marcem a majem 1906 roku drukował w nim *Feralny tydzień*, zaś w lutym 1907 r. tworzył tam cykl opowiadań: *Szkoła życia*.

W późniejszym okresie wydał szereg pozycji dla dzieci m.in.: ***Król Maciuś Pierwszy, Król Maciuś na wyspie bezładnej, Bankructwo małego Dżeka, Kajtuś Czarodziej***. Miał także znaczący wkład w edycje "Małego Przeglądu". Inne znane publikacje: *Sława, Pedagogika Żartobliwa, Jak Kochać dziecko, Sam na sam z panem Bogiem*. Po roku 1930 jego działalność literacka osłabła, w czasie drugiej wojny światowej prowadził pamiętnik - cenny, głęboki dokument istotny ze względu na okoliczności - czas i miejsce - jego powstawania.

Korczak prowadził szeroką działalność popularyzatorską w obronie praw dziecka za pośrednictwem radia. Sekretarzem, a potem współpracownikiem Korczaka był socjalista i późniejszy ceniony pisarz – Igor Newerly. Przedwojenne pedagogiczne audycje doktora zostały zdjęte z anteny po tym, jak słuchacze zaczęli wyrażać niezadowolenie powodowane odmiennością etniczną ich autora. Zarzucano mu zażydzanie radia. Korczak żałował, że wygłaszał audycje jako "Stary doktor" a nie podał swojego prawdziwego pseudonimu literackiego. Jednak we wrześniu 1939 był prelegentem w Polskim Radiu.

W 1937 roku został odznaczony Złotym Wawrzynem Akademickim Polskiej Akademii Literatury.

### **Mały Przegląd – pierwsze czasopismo prowadzone przez dzieci.**

Dziewiątego października 1926 roku opracował pierwszy numer "Małego Przeglądu" (1926–1939), który redagował przez kolejne 4 lata (1926–1930). Po roku 1930 redakcją kierował Igor Newerly. Biura gazety mieściły się w Warszawie, przy ulicy Nowolipki 7. Pismo było tygodniowym dodatkiem do czasopisma "Nasz Przegląd" i było unikalnym periodykiem pisanym przez dzieci i młodzież. Artykuły pisały dzieci, sam redaktor główny oraz Jarachmiel Wajngarten. *Listy od dzieci* segregował Chaskiel Bajn. Sekretarzem redakcji byli Magdalena Markuze i Emanuel Sztokman, działalnością w terenie zajmował się Edwin Markuze. Od 1926 roku reportażem sportowym opiekował się Kuba Hersztajn. Dzieci, które przesyłały listy, tworzyły sieć korespondentów lub współpracowników. W pracach nad gazetą także brali udział Lejzor Czarnobroda i Herszel Kaliszer. Istniały Koła Przyjaźni, Koło Zabaw i Pomocy, Klub Powieściopisarzy, Pracownia Wynalazców związana z wydawnictwem; w konferencjach redakcyjnych brało udział w późniejszym czasie do kilkuset osób. W sanacyjnej Polsce ukuło się powiedzenie, *Tak się wygląda, jak się zagłada, do Małego Przeglądu*, mające na celu ośmieszenie i zdyskredytowanie zarówno żydowskiego kierownictwa gazety jak i jej czytelników.

Pismo działało mimo wzmagającego się antysemityzmu, nietolerancji, segregacji rasowej i bojkotów żydowskich przedsięwzięciach w latach 30. Ostatni numer został wydany 1 września 1939 roku.

### **Działalność społeczna.**

W grudniu 1899 roku został aresztowany za działalność w czytelniach Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności. Był w szesnastoosobowej grupie założycielskiej Ha-Szomer Ha-Cair, powstałej w 1916 r. w Wiedniu żydowskiej organizacji skautowej.

Do Wolnomularstwa wstąpił najpóźniej w 1925 roku. Inicjowany był w Łoży „Gwiazda Morza” Międzynarodowej Federacji „Le Droit Humain” powołanej do tego, aby „pogodzić wszystkich ludzi, których dzielą bariery religii i poszukiwać prawdy przy zachowaniu szacunku dla drugiego człowieka”.

W połowie lat trzydziestych odwiedził Palestynę. Myślał poważnie o opuszczeniu Polski. Jedną z przyczyn była narastająca, wzorem zachodniego sąsiada, segregacja rasowa (m.in. na uczelniach wyższych) oraz nacjonalizm, które dla Korczaka nie stwarzały dobrego klimatu do pracy społecznej i pedagogicznej.

### **Pedagog.**

Od młodości był zafascynowany teoriami progresywizmu pedagogicznego, opracowanymi m.in. przez Johanna Pestalozziego. W lecie 1899 roku przebywał w Szwajcarii by poznać jego działalność i twórczość pedagogiczną. Ten wyjazd opisał w czasopiśmie "Czytelnia dla wszystkich". Popierał założenia programu "nowego wychowania" Johna Dewey'a i prac Decroly, Montessori, Spencera, Fröbela; czytał pedagogiczne koncepcje Tołstoja.

Korczak był zwolennikiem emancypacji dziecka, jego samostanowienia i poszanowania praw. Samorządy wychowanków – małe parlamenty, imitowały świat dorosłych i przygotowywały małych ludzi do życia dorosłego. Podobnie było z innymi instytucjami, które istniały w rzeczywistości, a zostały zminiaturyzowane i zaadaptowane na potrzeby dziecka (np. sądy). "Dziecko kojarzy i rozumie jak osoba dorosła – nie ma tylko jej bagażu doświadczeń". Pismo publikowane dla i przez dzieci było ich forum, kuźnią talentów i ważnym filarem asymilacji – zwłaszcza dzieci z ortodoksyjnych rodzin żydowskich. Lekarz Korczak opowiadał się za resocjalizacją oraz kompleksową i nowatorską opieką nad dziećmi z tak zwanego marginesu społecznego.

### **Obecna percepcja.**

Istnieje szereg publikacji omawiających myśl pedagogiczną Korczaka i obecnie (2012) jest on coraz szerzej rozpoznawany jako prekursor szeregu nurtów pedagogicznych. Wielu współczesnych autorów zgadza się z głębokim przekonaniem Janusza Korczaka do praw dziecka. Korczak jest uznawany za jednego z pionierów nurtu pedagogicznego nazywanego obecnie "moralną edukacją" (ang. moral education) chociaż nie stworzył żadnej systematycznej teorii na ten temat. Jego nowoczesne pomysły pedagogiczne oparte były na praktyce, był przeciwnikiem doktryny w dydaktyce, mimo że był dobrze zorientowany w nurtach pedagogicznych i psychologicznych swojej epoki. Według Igora Newerlego Korczak nie popierał żadnej specyficznej ideologii politycznej lub edukacyjnej. Mimo to szereg współczesnych autorów wskazuje Korczaka jako prekursora kilku nurtów. Kohlberg uważa, że jego Sprawiedliwa społeczność dzieci (ang. Children Just Community) jest oparta na praktyce Korczaka. Sugerowano, że Korczak i Paulo Freire mają podobne poglądy na demokrację w szkole i teorię dialogu. Zwolennicy miłości pedagogicznej (ang. pedagogical love) opierają swoją teorię na modelu relacji nauczyciel-student wypracowanym przez Korczaka. Inni autorzy doszukują się u Korczaka i Martina Bubera początków nurtu "edukacji religijnej". Idee Korczaka są stosowane w "ideologii normalizacji" edukacji dzieci upośledzonych umysłowo.

### **Dom Sierot i Nasz Dom.**

Razem ze Stefanią Wilczyńską założył i prowadził **Dom Sierot** – dla dzieci żydowskich w Warszawie (pomiędzy 7 października 1912 i 1942). Dom znajdował się przy ulicy Krochmalnej 92, został wybudowany przez Towarzystwo Pomocy dla Sierot specjalnie na rzecz jednostki kierowanej przez Korczaka. Korczak mieszkał przy Krochmalnej 92 do 1932 roku, kiedy przeniósł się do mieszkania siostry przy ul. Żurawiej 42. 2 października 1940 roku Dom Sierot został przeniesiony do getta na ulicę Chłodną 33. W 1940 roku, w czasie przenoszenia Domu Sierot, jego opiekun został aresztowany. Uwięziono go na Pawiaku i po kilku miesiącach zwolniono za kaucją. Kolejnym lokum dla Domu była ulica Sienna 16/Śliska 9. Przed wojną współprowadził wraz z Maryną Falską sierociniec dla dzieci polskich **Nasz Dom** (1919–1936) mieszczący się na Bielanach przy ulicy Jana Kasprowicza 203, gdzie stosował nowatorskie metody pedagogiczne.

### **Getto warszawskie.**

W czasie wojny nosił polski mundur wojskowy i nie aprobował dyskryminacyjnego oznaczania Żydów niebieską lub żółtą Gwiazdą Dawida. Uważał, że było to bezczeszczenie symbolu. Ostatnie trzy miesiące swojego życia (od maja 1942) spędził w Getcie warszawskim, gdzie w wolnych chwilach tworzył pamiętnik (opublikowany w Warszawie w 1958 roku). Pisanie rozpoczął w 1939 roku. Nie notował przez około 2,5 roku, kiedy całą jego energię wyczerpywała opieka nad dziećmi z Domu Sierot. W tym czasie zastanawiał się nad popełnieniem samobójstwa i bardziej humanitarną śmiercią (niż w komorze gazowej) dla paroletnich dzieci i ludzi starszych, umierających z głodu na ulicach getta. Rozważał, czy eutanazja noworodków nie skróciłaby ich powolnej agonii związanej z drastycznym brakiem żywności. Newerly, późniejszy jego biograf, próbował w tym czasie dostarczyć mu fałszywe dokumenty z aryjskiej części miasta, ale Korczak odmówił wyjścia z getta – stary pan doktor nie zdecydował się opuścić swych podopiecznych, choć międzynarodowa sława dawała mu szansę na przeczekanie wojny w każdym neutralnym kraju Zachodu.

Jego ostatni zapisek w *Dzienniku* datuje się na 5 lub 6 sierpnia 1942 r. i dotyczy roślin, które doktor pielęgnował. Autor zastanawiał się, czy dobrym celem dla niemieckiego wartownika, stojącego koło muru getta, była jego głowa (łysina) w oknie.

### **Ostatni marsz.**

Zginął wraz z wychowankami – wywieziony w początkach sierpnia 1942 roku z getta w wagonie bydłowym. Dobrowolnie towarzyszył im w drodze na śmierć w komorze gazowej obozu zagłady w Treblince.

Rankiem 5 lub 6 sierpnia 1942 roku obszar Małego Getta został otoczony przez oddziały SS oraz przez żołnierzy ukraińskich i łotewskich (tzw. askarysów), słynących z brutalności i braku elementarnych ludzkich uczuć. Według pamiętnika prowadzonego na bieżąco przez Abrahama Lewina wypadki nastąpiły 7 sierpnia. Pochód wyruszył sprzed Resursy Kupieckiej przy ulicy Śliskiej 9. Nie wiadomo dokładnie którą drogą szli na Umschlagplatz, być może przez Karmelicką i Zamenhofa do Stawek, a może od Żelaznej i Smoczej. Korczak prowadził pochód swoich dzieci idąc bez kapelusza, w wysokich butach wojskowych i trzymając dwoje dzieci za rękę. W wymarszu uczestniczyło 192 dzieci i dziesięcioro opiekunów, m.in.: Stefania Wilczyńska. Rekonstrukcja opisu marszu jest częściowa i oparta na szeregu opisów.

*Nie chcę być obrazurcą ani odbrązawiaczem – ale muszę powiedzieć, jak to wtedy widziałem. Atmosferę przenikał jakiś ogromny bezwład, automatyzm, apatia. Nie było widocznego poruszenia, że to Korczak idzie, nie było salutowania (jak to niektórzy opisują), na pewno nie było interwencji posłańców Judenratu – nikt do Korczaka nie podszedł. Nie było gestów, nie było śpiewu, nie było dumnie podniesionych głów, nie pamiętam, czy niósł ktoś sztandar Domu Sierot, mówią, że tak. Była straszliwa, zmęczona cisza. Korczak włókł nogę za nogą, jakiś skurczony, mamlął coś od czasu do czasu do siebie (...). Tych paru dorosłych z Domu Sierot, między nimi Stefa (Wilczyńska), szło obok, jak ja, lub za nim, dzieci początkowo czwórkami, potem jak popadło, w pomieszanych szeregach, gęsiego. Któreś z dzieci trzymało Korczaka za poję, może za rękę, szły jak w transie. Odprowadziłem ich aż do bramki Umschlagu ... (M. Rudnicki: *Ostatnia droga Janusza Korczaka*. „Tygodnik Powszechny” 1988 nr 45)*

Według innych wersji dzieci maszerowały czwórkami i niosły flagę Króla Macjusia I. Każde dziecko miało ze sobą ulubioną zabawkę lub książkę. Jeden z chłopców na czele pochodu – grał na skrzypcach. Ukraińcy i SS-mani trzaskali batami i strzelali ponad tłumem dzieci, choć pochód był prowadzony przez jednego z nich – który widocznie darzył dzieci pewnym rodzajem sympatii.

*Szedł przodem tego tragicznego pochodu. Najmłodsze dziecko trzymał na ręku, a drugie maleństwo prowadził za rączkę (...) Trzeba tylko pamiętać, że droga z Domu Sierot na Umschlagplatz była długa. Trwała cztery godziny. Widziałam ich, kiedy z ulicy Żelaznej skręcali w Leszno. Dzieci były ubrane odświętnie. Miały na sobie niebieskie drelichowe mundurki. Cały ten orszak kroczył czwórkami, sprężysto, miarowo, dostojnie na Umschlagplatz – na plac śmierci! Kto miał prawo wydać taki wyrok? (...) A świat milczał! A milczenie czasem znaczy przyzwolenie na to, co się dzieje. (Władysław Szpilman, Pianista)*

Tego samego dnia hitlerowcy wywieźli z getta warszawskiego 4000 dzieci i ich opiekunów z sierocińców ulokowanych w mieście.

### **Filmy**

*Jest pan wolny, doktorze Korczak* (niem. "Sie sind frei Doktor Korczak") - niemiecki film w reżyserii Aleksandra Forda z 1975 roku. Treścią filmu są ostatnie lata życia Janusza Korczaka, w którego rolę wcielił się Leo Genn.

*Korczak* – polski film w reżyserii Andrzeja Wajdy z 1990 roku. Przedstawia losy dr. Korczaka i fragmentarycznie – zbrodnię nazistowską na dzieciach i ich opiekunach z Domu Sierot, w czasie realizacji "Akcji Reinhardt". Rolę Korczaka zagrał Wojciech Pszoniak.

## *Główne dzieła Janusza Korczaka*

„Dzieci ulicy” - powieść (1901) - debiut literacki;  
„Koszalki opałki” (1905), „Dziecko salonu” (1906),  
„Szkoła życia” (1908), „Jaśki, Mośki, Srule” (1910),  
„Józki, Jaśki, Franki” (1911), „Sława” (1912),  
„Boba, spowiedź motyla, feralny tydzień” (1914),  
„Momenty wychowawcze” (1919),  
„Jak kochać dziecko” (tom I) – 1920; tom II - 1921,  
„O gazetce szkolnej” (1921),  
„Rozprawa o fizycznym wychowaniu dzieci” (1922),  
„Sam na sam z Bogiem (Modlitwy ludzi, którzy się nie modlą)” – 1922,  
„Kiedy będę znów mały” (1925),  
„Bankructwo małego Dżeka” (1926), „Bezwstydnie krótkie” (1926),  
„Król Maciuś Pierwszy” (1928), „Prawo dziecka do szacunku” -  
1929, „Prawidła życia” (1930), „Senat szaleńców” (1930),  
„Król Maciuś na wyspie bezludnej” (1931),  
„Kajtuś Czarodziej” (1934), „Uparty chłopiec” (1937),  
„Ludzie są dobrzy” (1938), „Refleksje” (1938),  
„Pedagogika żartobliwa” (1939)

*W 1937 roku Polska Akademia Literatury przyznała Korczakowi  
Złoty Wawrzyn za twórczość literacką.*

Janusz Korczak, Wybór pism, tom 1-4, 1958.



# Z pism Janusza Korczaka

## SŁAWA

(Z podręcznika Zofii Łuczak: "KU SZCZYTOM. WYPISY NA KLASĘ SZÓSTĄ SZKÓŁ DLA DZIECI POLSKICH W ZSRR" wydanego przez Komitet do Spraw Dzieci Polskich w ZSRR przy Ludowym Komisariacie Oświaty RFSRR, Moskwa 1945)

Nareszcie Władek znalazł przyjaciela.

Siedział raz Władek na schodach z Abu. Nagle usłyszał, że ktoś idzie i gwizdże.

— Łobuz jakiś — pomyślał, bo mama mówiła, że gwizdzą tylko łobuzy.

Chłopiec z paczką książek zatrzymał się zdyszany, położył książki na oknie, przykucnął i zaczął oglądać. Uśmiechał się zadowolony i znać było, że chce z Władkiem rozpocząć rozmowę, bo raz i drugi spojrzął na niego.

— Umiesz czytać? — zapytał wreszcie.

— Rozumie się — odpowiedział Władek.

— Widzisz, na tę książkę polowałem już od miesiąca! Władek bawił się w polowanie z kuzynem Jankiem, który ma strzelbę; ale polowali na zające i kaczki; a co może znaczyć polowanie na książki — nie wiedział.

— To jest powieść historyczna z czasów napoleońskich. Widzisz, są wszystkie kartki i wcale nie zniszczona. Wszystkie napoleońskie powieści czytałem po dwa razy. A „Potop” czytałem trzy razy. Znasz „Potop”?

— Znam — powiedział Władek, który uczył się o potopie w szkole: jak Noe wybudował arkę i gołąb przyniósł mu gałązkę na znak, że już sucho.

— Ta książka znowu — objaśniał dalej chłopiec — jest naukowa, o gwiazdach. Także już raz ją czytałem; ale wzięłem, bo pani nie chce dawać samych powieści. Zresztą powieści łyka się w jeden dzień, a książki wydają tylko raz na tydzień, to by mi się potem nudziło. A ty jak się nazywasz?

— Władek.

Władek ciekawie przyglądał się chłopcu, który łyka książki. Co znaczy połknąć książkę i gdzie się na nią poluje?

— Ty jeszcze nie byłeś w czytelnicy, prawda? Szkoda, że nie wiedziałem, bo byłbym wzięł druczek. Chociaż, możesz napisać na zwyczajnej kartce, byle rządca położył pieczętkę. Już ja cię wkieruję. Idziesz po obiedzie w gości?

— Nie — odpowiedział zakłopotany Władek, bo coraz mniej rozumiał, o czym mówi nowy znajomy, a bał się zdradzić, że nie wie, że głupi i nie warto się z nim zadawać.

Umówili się na piątą godzinę, choć Władek nie zna się jeszcze na zegarze.

Pamiętny był to dzień w nowym życiu Władka. Bo czego mu chłopiec nie naopowiadał! Rzecz dziwna: do szkoły nie chodzi, a przecież wie wszystko.

Wie, w jakim kapeluszu chodził Bonaparte, jak ręce zakładał na piersi. Wie, jak po czerwonej podszewce odróżnić generała od zwyczajnego oficera, i że są drzewa baobaby tak ogromne, że można w ich pniu mieszkać jak w domu; że w powietrzu jest gaz tlen, bez którego duszą się myszy i dzwonek nie dzwoni, i że kto zębów nie myje, ma w ustach robaczki, i że telegraf — to iskra elektryczna.

— Chcesz się przekonać? — zapytał.

— Chcę — odpowiedział Władek, bo choć wierzył, że mówi prawdę, jednakże — kto wie, czy to prawda?

Przeszli przez parkan i przyłożyli ucho do słupa.

— Widzisz druty?

— Widzę — powiedział Władek.

— Więc to telegraf, prawda?

— Prawda — powiedział Władek.

— I słyszysz, jak huczy w środku?

— Słyszę — powiedział Władek.

— No widzisz, bo w słupie jest elektryczność.

Koło parkanu w kącie podwórza, na niskim dachu lodowni, w ciągu całego szeregu wieczorów pobierał Włodek nauki od Olka, a w zamian udzielał mu wiadomości o szkole i nauce szkolnej. Kiedy czytali na zmianę, wszystko szło dobrze. Kiedy zaś wzięli jakąś szkolną książkę: gramatykę albo zbiór zadań — Włodek przekonał się, jak wszystko źle wiedział, jak mało umie.

— Rzecznik odpowiada na pytania: kto? co? Jeżeli żyjący — kto? jeżeli nieżyjący — co?

— Więc Napoleon to też rzecznik?

— Rozumie się, bo go można widzieć.

— A nie można go widzieć, bo umarł.

— No tak, ale na obrazku.

— A na obrazku nie żyje przecie, więc odpowiada na pytanie: co?

Włodek wzrusza ramionami.

— A czy sława to też rzecznik?

Sławę można czy nie można widzieć?

I dlaczego sława odpowiada na pytanie: co? — kiedy sława żyje?

— Sława nie tylko żyje, ale jest nieśmiertelna,

Olek chce być sławnym wodzem i na pewno nim będzie. Olek ma na to sposób, żeby być sławnym: trzeba wieczorem patrzeć na niebo, kiedy są gwiazdy, bo między nimi są spadające gwiazdy. Trzeba uważać, kiedy taka gwiazda spada, i prędko powiedzieć.

— Chcę być sławny.

— To się spełni.

Można powiedzieć: chcę być bogaty. Ale Olek nie dba o pieniądze.

— Bogaty żyje, żyje, potem umrze — i już. A sławny — to zupełnie co innego.

W niedzielę byli w czytelnicy — i czekali całą godzinę, zanim ich wywołano; i Włodek zrozumiał, co znaczy polować na książki.

W szkole, prócz paru uczniów, chłopcy nigdy nie mówili o książkach. A to, co w nich napisane, mówiło się tylko wtedy, kiedy nauczyciel wyrwał do tablicy.

Tu zaś zupełnie inaczej.

— Czy to ładna książka? Co czytałeś? O czym tam się mówi? Znam, nie znasz. Bajka, powieść, wierszyki, życiorysy. Łatwa, trudna książka; w jednym, w dwóch tomach.

Chłopcy brali książki dla siebie, dla braci, sióstr, rodziców.

Trzy tygodnie trwały narady. Bo teraz i Włodek cały dzień zajęty w mydlarni, więc dopiero wieczorem zbierali się na dachu lodowni. Radzili Olek i Włodek, potem wzięli Manię i Natalkę. Przychodziła głuchoniema Michalinka, ale ona tylko patrzyła — niech sobie siedzi, kiedy nie przeszkadza.

Wreszcie statut, to jest przepisy stowarzyszenia, był gotów. Nazwa początkowo brzmiała: „Zeterce” — i tak nazywano nowe stowarzyszenie, dopóki Włodek nie zauważył, że honor napisany był w książce przez h, a nie przez ch. Trzeba więc było „Związek rycerzy honoru” nazwać: „Zeterha” — i tak było lepiej, bo dlaczego honor w skróceniu miał się mówić ce?...

„Zeterha” jest związkiem rycerzy honoru.

„Zeterha” ma hasło: Sława.

„Zeterha” ma naczelnego wodza. Naczelnym wodzem może być także dziewczynka, jeżeli się zgodzą związkowcy.

Jeżeli naczelnik podwórza sam nie da rady, daje hasło kukułki, i wszyscy „Erha” muszą mu przyjść na pomoc.

Naczelnik ma buławę, którą otrzymuje od naczelnego wodza.

Wszystko to samo robi naczelnik schodów na schodach.

Także musi zbierać pestki, kawałki szkła i wszystko, o co można skaleczyć się albo przewrócić.

Wszyscy „Erha” pomagają stróżowi, żeby było czysto.

Żadnych pieniędzy ani składek tymczasem nie zbieramy, bo musimy zobaczyć, czy nam się uda.

Jeżeli rodzice niesprawiedliwie biją dzieci, dwaj posłowie z „Zeterha” idą tam i proszą, żeby tego nie robili.

Każdy nowy rycerz odczytuje taką rotę przysięgi:

„Ja... (imię i nazwisko) przystępuję do „Zeterha”, to jest do „Związku rycerzy honoru”. Przyjmuję hasło: Sława, która jest rzecznikiem nieśmiertelnym. Wiem, czego mi robić nie wolno, a jeżeli coś takiego zrobię, przyznam się, powiem prawdę, i niech mnie osądzą, na jaką zasłużyłem karę”.

Pięć razy trzeba było przepisać statut „Związku rycerzy honoru”, bo jeden egzemplarz wziął Władek, jeden Olek, po jednym Hania i Natalka, a piąty włożono do butelki i zakopano późnym wieczorem koło telegraficznego słupa jako statut węgielny.

Dzieci! Dumne miejcie zamiary, górne miejcie marzenia i dążcie do sławy. — Coś z tego zawsze się stanie.

## OŚWIATA

(Z podręcznika Gabrieli Pauszer "WOLNA I SPRAWIEDLIWA. Wypisy na klasę piątą szkoły średniej wydany przez Komitet do Spraw Dzieci Polskich w ZSRR przy Ludowym Komisariacie Oświaty RFSRR, Moskwa 1945)

Powiedziałem synowi:

— Oświata, moje dziecko, jest człowiekowi potrzebna.

Powiedziałem córce:

— Oświata, moje dziecko, jest kobiecie także potrzebna.

Powiedziałem obojgu:

— Dzieci, uczcie się!

I ogłosiłem:

«Potrzebna nauczycielka do początków, skromnych wymagań. Tamże pokój z samowarem dla spokojnej osoby albo moralnego mężczyzny».

Przyszła nauczycielka.

— Skromnych wymagań?

— Tak.

— Do początków?

— Tak.

— Dziesięć.

— Sześć.

— Mało: osiem.

— Dużo: siedem.

— Dobrze. Od kiedy?

— Od jutra.

I dzieci moje zaczęły się uczyć.

Pierwszy miesiąc: nie zmyślały jeszcze.

Drugi miesiąc: uciekają od książek.

Trzeci miesiąc: biorą baty.

Czwarty miesiąc: straciły apetyt.

Piąty miesiąc: blade, oczy napuchnięte od płaczu, zgłupiały do cna.

Pięć razy po siedem rubli równa się trzydzieści pięć rubli...

— Pozwoli pani, że będę siedział przy lekcji i posłucham, czego to pani uczy?

— Bardzo proszę.

Siadam. Słucham.

— Dzieci, weźcie kajety. Napiżemy dyktando.

— Zaczynam.

«Babka patrzy przez lupkę na mapkę. Bąk się zląkł i uciekł z łąk. Dziecko się maże, że ojciec każe, aby aptekarze nie byli w barze. Kózka podarła Józce bluzkę. Handel herbatą i haftkami narobił na huśtawce hałasu. Nie wierz, że zwierz mógł spaść z wież. Napij się wódki, mój ty krótki, i siadź do łódki. On wsadził lufkę w mufkę i powiedział mówkę. Powstał krzyk, bo dzieci żądały fig. Kto idzie przez drózkę, spotka strózkę i złamie nóżkę».

— Dosyć. Dlaczego: babka?

— Baba.  
 — Dlaczego: bąk?  
 — Bąka.  
 — Dlaczego: maże?  
 — Nie wiem.  
 — Jesteś osioł, dureń, idiota, błazen, nieuk: bo mazać. Dlaczego kózka?  
 — Koza.  
 — Dlaczego: wódka?  
 — Nie wiem.  
 — Bo: woda.  
 — A przecież wodą nie można się upić.  
 — To wszystko jedno. Odmieniaj: babka.  
 — Babka, babki, babce, babka.  
 — Znowu nie uważasz, ośle, dumniu, idioto, nieuku. Kogo widzę?  
 — Nie wiem.  
 — Jak to nie wiesz?  
 — Ja panią widzę.  
 Uderzenie pięścią w stół.  
 — Kogo widzę? Babkę widzę. Od początku.  
 — Babka, babki, babce, bab. . .  
 Łzy.  
 — Czego beczysz?  
 — Bo się boję.  
 — Mazgaj jesteś: babkę, babką, o babce. Nie chce ci się uczyć: babki, babek, babkom. —  
 Wyrośniesz na ostatniego osła, babki, babkami. Świat cię otoczy pogardą: o babkach.  
 Łzy.  
 — Powiedźcie mi teraz, co to jest — kózka.  
 — Zwierzę, proszę pani.  
 — Kretyn jesteś, nic nie umiesz. A ty powiedz, co to jest: kózka?  
 — Ptak, proszę pani.  
 — Oślica jesteś. Kózka to jest rzeczownik. A co to jest rzeczownik?  
 — Część mowy.  
 — Dobrze. Nareszcie wam to zdołałam wbić we łby, ośle głowy. Schowajcie kajety. Teraz  
 arytmetyka.  
 Łzy.  
 — Już beczycie? — Pewien ojciec miał sześciu synów. Razem ci synowie mieli 315 lat. Drugi syn  
 był dwa razy starszy od pierwszego, trzeci dwa razy starszy od drugiego, czwarty — dwa razy starszy  
 od trzeciego itd. Ile każdy z synów miał lat? Takie zadania często bywają na egzaminach. Noo?  
 Przytłaczające milczenie.  
 — No, ile części miał pierwszy syn? Prędzej.  
 — Części mowy, proszę pani?  
 — Oślica jesteś. Pierwszy syn miał jedną część lat. Napiszcie jedynekę. Czego wytrzeszczacie  
 oczy? Nie umiecie jedynekę napisać?  
 Łzy, łzy, łzy.  
 — A drugi syn miał dwa razy więcej lat. Więc ile drugi syn miał części?  
 — Trzy.  
 — Źle. No, a ty co powiesz?  
 — Dwie.  
 — Dobrze, co to się stało? Co ja widzę?  
 — Babkę, proszę pani.  
 — Zamiast pleść głupstwa, to byś lepiej nic nie mówiła. Piszcie: dwie części. No, dwójkę  
 napiszcie. A dalej cztery, prędzej, osiem, szesnaście i trzydzieści dwa. Teraz trzeba dodać, rozdzielić  
 — wypadnie, że pierwszy syn miał pięć lat, a najstarszy — sto sześćdziesiąt.  
 — To można tak długo żyć, proszę pani?  
 — Do głupich pytań to ty jesteś jedyny, ale do nauki, to ani w ząb. Ja wzięłam tak dla przykładu.  
 Ile jest dwanaście razy dwanaście?  
 — Trzysta.

— Żle.  
 — Bo ja to wziąłem tylko dla przykładu.  
 — Będziesz sobie żarty ze mnie stroił, smarkaczu? Przepiszesz za karę na jutro cztery stronicie z książki. No, a ty co powiesz?  
 — Jaaa?  
 — Tak: ty. Ile jest dwanaście razy dwanaście?  
 — Cztery.  
 — A dwa razy dwa?  
 — Także cztery.  
 — Bardzo dobrze. Za karę zrobisz na jutro mnożenie: dziewięćdziesiąt dziewięć tysięcy dziewięćdziesiąt dziewięć przez 99 999 999.  
 Nauczycielka wstaje. Dzieci popłakują.  
 — Widzi pan, co to się trzeba namęczyć, nagadać? Aż w gardle usycha.  
 — A tak: babka, babki. Ale wie pani: babce, kogo widzę? babkę... że ta nauka: babką, o babce... to mi dzieci, babki babek... do grobu wpędzi, babkom, babkami, o babkach.  
 — A panu się zdaje, że nauka, to co! Ja uczę tak, jak trzeba. Pan sądzi, że ja — to co?  
 — Chyba rzeczownik, proszę pani. Trzasnęła drzwiami i wyszła.  
 A ja powiedziałem dzieciom:  
 — Jeżeli mi się które z was waży wziąć książkę do ręki, to mu kości połamię.  
 Bo ja to tak, jak prosty człowiek, ale rozum mam i zdrowe zmysły chyba także.

1. Co nas śmieszy w tym opowiadaniu?
2. Jakie jeszcze znasz utwory Janusza Korczaka?
3. Jak zginął Janusz Korczak, znakomity pedagog i pisarz? Co wiesz o znęcaniu się niemieckich faszystów nad polską kulturą i polskimi pisarzami?

## BLIZNA

(Z podręcznika "KU LEPSZEJ PRZYSZŁOŚCI. Czytanki polskie dla starszej młodzieży szkół powszechnych i kursów dla dorosłych. Zestawili: H. Szpiper i T. Wojeński, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, Warszawa - Katowice 1945)

Nikt z nim nie chciał siedzieć na jednej ławce. Więc kiedy nie chcieli, to nie usiedli i koniec. Ale Jasiak cichy. Jasiak nawet kiedy nie chce, a ktoś każe, posłucha; tylko mu przykro.  
 Na trzeciego nie wpuszczają przecie, zresztą nie wolno nawet, choćby i puścili. Nie było już innego miejsca. Co miał robić? Usiadł.  
 Nie płacze, bo wie, że śmiać się będą. Na podwórku też nie pożałują, Kiedy ktoś zapłacze. „Mazgaj, beksa!” — powiedzą.  
 Dorośli często śmieją się z łez dzieci, więc się chyba od nich nauczyli. I kto może, wstrzymuje się, żeby nie widzieli.  
 Pierwszy dzień szkoły.  
 Siedzi Jasiak, odsunął się na sam brzeżek ławki, ale co spojrzy, zaraz sobie przypomni. I już musi się pilnować. — Aby tylko dziś przetrzymać. Bo jak pójdzie do domu, powie mamie: co robić, żeby z nim razem nie siedzieć?  
 A no, słucha Jasiak, jak uczniowie powinni się uczyć pilnie, zeszytów nie gnieść, myć zęby szczoteczką i nie przeszkadzać na lekcji. Niby słucha, a nosem pociąga.  
 A nauczycielka nie zna jeszcze chłopaków, więc mówi:  
 — Chodź no tu, ty z ostatniej ławki. Jak się nazywasz? Dlaczego płaczesz?  
 Odwrócili się wszyscy i patrzą. Ale mówią:  
 — Bo on, proszę pani, nie chce z żydem siedzieć.  
 — Bo po co tu żyd przyszedł?  
 Nawet z ławek powychodzili, żeby lepiej widzieć i dopiero:  
 — Żydziak — rabin — Mosiek.  
 Nauczycielką wstała. Przycichli trochę, bo nie wiedzą, czy wolno.

Ale znowu:

— Cebulą śmierdzi. Idź do swoich Mošków! Nie chcemy!

Nauczycielka stoi i czeka, a chłopcy ciekawi, co powie. Ale nic pani nie mówi, tylko szpilkę z włosów wyjęła i odgarnęła włosy. A ładne pani ma włosy — długie, jasne, starannie uczesane.

Co to będzie?

Cisza.

— No cóż? — pyta się pani. — Już skończyliście?

— Cośmy mieli skończyć? — mówi ten, co kamieniami rzucał na podwórku. — Sprawimy żydowi grzanie, to sobie pójdzie.

— Nie pójdzie — mówi pani. — Choćbyście go co dzień bili, on musi tu zostać, bo tak kaze prawo. A teraz uspokójcie się: opowiem wam historię tej oto blizny. Wiecie, co to jest blizna?

Pani się pochylila i pokazała między włosami puste miejsce — taką szramę. Przedtem wcale nie było widać.

— Widzicie?

— To od kamienia.

— Albo panią koń kopnął.

— Nie koń, a ludzie. Mali ludzie, nierozumni, złośliwi.

Spięła pani włosy po dawnemu, patrzy nie na klasę, a jakoś wysoko, jakby na obraz.

— Byłam wtedy dzieckiem, takim jak wy teraz. Mama moja mieszkała w miasteczku. Ojciec mój umarł. Byłyśmy tylko dwie: mama i ja. A to miasteczko należało do Niemiec. I u Niemców było też wtedy takie prawo, że dzieci muszą chodzić do szkoły. Więc mama zapisała mnie, bo jak nie, to by karę zapłaciła albo do więzienia poszła. Ja wtedy mało jeszcze rozumiałam. Kiedy pierwszy raz miałam iść do tej niemieckiej szkoły mama pocałowała mnie i zaczęła płakać. I powiedziała: „biedne maleństwo”. A ja się zdziwiłam, bo cieszyłam się, że będę już uczennicą. Czego mama się boi i żałuje.

No i cóż? przestałam się dziwić. Domyślacie się pewnie? ...

Kiedyście teraz krzydzeli na chłopca, dlatego że jest żydem, przypominałam sobie mój smutny pierwszy dzień w szkole.

— No dosyć, dzieci. To było dawno. Przeszło już. Nieprzyjemnie wspominać.

Pani nie chciała dalej opowiadać, ale zaczęli prosić:

— Niech pani powie, jak to było.

— Jak było? — Nikt ze mną nie chciał usiąść na ławce. Mówili: — „Przeklęta Polaczka” — „Twój ojciec pijak”. A mój ojciec nigdy wódki nie pił. Nawet piwa nie pił. Ja mało rozumiałam wtedy po niemiecku. Więc nie wiem, co mówili. Ale taką była u nich złość, taka nienawiść. Tylko czworo mi nie dokuczało: trzech chłopcy i jedna dziewczynka. Ona się Erna nazywała. Prosiłam ją potem, żeby mnie nie broniła, żeby udawała, że też mnie nie lubi. Bo i ją zaczęli prześladować. Pytali się, ile jej zapłaciłam za to, że mnie broni. Źle — strasznie źle było mi w tej niemieckiej szkole.

Dzwonek przerwał opowiadanie.

Szkoda.

I teraz po dzwonku i później wiele razy prosili, żeby pani opowiedziała, kto i jak kamieniem rzucił. Ale pani się uparła, że nie chce.

— To było dawno. Nieprzyjemnie wspominać. Nie warto. Cóż: kamień, wiadomo, twardy, bolało, zgoiło się. Nie zrozumiecie i tak, dzieci: blizna na głowie nie boli, ale w duszy jest blizna od tego kamienia. I ta blizna duszy boli. Nie dokuczajcie, dzieci, ani jemu, ani nikomu. Brońcie honoru szkoły polskiej. Żeby nikt ze szkoły polskiej nie wyniósł w świat, w życie, takich jak moja blizna: na głowie i w duszy.

Janusz Korczak (*Z czasopisma „W słońcu”*)

## O GRAMATYCE

Pan Jan ma lekcję z dziećmi na Solcu.

— Więc powiadacie, chłopcy, żeście się uczyli gramatyki? I powiadacie, że gramatyka jest trudna i niepotrzebna? Że wymyślili ją po to, żeby męczyć dzieci i dwójki stawiać?

Otóż zaraz się przekonacie, że tak nie jest, że jest tu dużo bardzo ciekawych i ładnych rzeczy.

...Pomówimy sobie o języku, ale nie o tym czerwonym, co go macie w ustach, tylko o mowie ludzkiej. Zdziwicie się bardzo, gdy się dowiedziecie, że język ludzki, czyli mowa ludzka, żyje, karmi się, choruje, robi rozmaite interesy — może być bardzo biedny albo bogaty.

Więc, proszę was, różni mądrzy podróżnicy jeździli do dalekich krajów i zauważyli, że są dzicy ludzie, którzy mają w mowie bardzo mało wyrazów, że ich język jest bardzo biedny. Ma ten biedny język trochę rzeczowników, bo przecież trzeba jakoś nazywać swoje stołki, garnki i inne rzeczy, ma tam jakąś kupkę przymiotników, bo jedne stołki są duże, a drugie małe, jedne garnki — jakie? — czyste, a drugie — jakie? — brudne — ma tam trochę jeszcze tego i owego — i już koniec. Taki to sam biedny język jak naszych małych dzieci.

A im mądrzejszy jest jakiś naród, im więcej wie i więcej umie, tym więcej, ma rozmaitych wyrazów — i z każdym rokiem rodzą mu się nowe wyrazy, jak wam rodzą się bracia i siostry.

A może mi tak powiecie, jaki się wyraz niedawno urodził? — Ano: samochód. Ktoś wymyślił brykę, która jeździ bez konia, trzeba to było jakoś nazwać — i nazwali samochód. To samo, dopóki ludzie nie wymyślili druku, nie była wyrazu: druk, czcionki, zecer, książka.

Ale nie myślcie, że tylko rzeczowniki się rodzą. Nie: i przymiotniki, także i inne części mowy — są np. w języku polskim dwa wyrazy: lubić i kochać. Kocha się Boga, ojca, matkę, a lubi się kolegę, psa, wodę z sokiem. Byłoby lepiej, żeby dla wody z sokiem był inny wyraz niż dla kolegi — i pewnie on się kiedyś urodzi; wymyślą go ludzie — może nawet który z was wymyśli — co?

— A weźcie teraz język rosyjski: tam jest tylko jedno — lubit' — i mówi się: lublu atca i lublu prianik. — A teraz inny przykład: wiecie, co to jest ciekawość? Ciekawość, to zaglądać do cudzych garnków — i mówi się, że taka ciekawość prowadzi do piekła. Ale jest i inna ciekawość: co się dzieje na świecie, skąd powstają różne choroby, co było za dawnych czasów, o czym mówią książki — i taka ciekawość — to pierwszy stopień do rozumu, do wiedzy, do doskonałości. I patrzcie: i dobra, i zła nazywają się jednakowo — ciekawość. — I tu znowu rosyjski język jest bogatszy, bo ma dwa wyrazy: lubopytstwo i luboznatel'nost' — Może za dwa lata, a może za dwadzieścia język polski urodzi nowy wyraz dla dobrej ciekawości — i będzie wszystko w porządku... Jeżeli język sam sobie na razie nowego wyrazu wymyśleć nie potrafi, to go sobie pożycza tymczasem. Każdy język ma dużo takich pożyczonych wyrazów. — Mówicie: „amator kwaśnych jabłek”, a amator to łaciński wyraz. — Adie pożyczone od Francuzów, a kucharz — od Niemców.

Kto pożycza, ten powinien oddawać — i język oddaje pożyczone wyrazy. Weźcie sobie, panowie Francuzi, z powrotem swój wyraz kontent, bo my już mamy swój wyraz — no, jaki? — a — zadowolony. — Weźcie sobie, panowie Niemcy, swoje spacerować, briefreger, bahnhof, bo my mamy: przechadzka, listonosz, dworzec. — A już sensu nie ma mówić powiestka sądu, bo jest wezwanie.

Widzicie więc, że rodzą się w języku nowe wyrazy, że rośnie, pożyczca i oddaje, kiedy sobie na własny wyraz zapracuje — że jest coraz bogatszy, że coraz łatwiej nim ludziom myśleć i mówić...

Zdziwicie się jeszcze bardziej, kiedy wam powiem, że niektóre wyrazy w nim wymierają. Wyobraźcie sobie, że mówicie do kolegów: „Azali zagracie z nami w palanta?” i „Zaiste, zagramy” — odpowiadają koledzy.

Widzicie: sami się śmiejecie. — Azali, zaiste — są to wyrazy stare, zgrzybiałe, do codziennej mowy wcale niezdatne. Są one siwe i poważne i usłyszeć je dzisiaj możecie tylko w kościele. Takich wyrazów, które już zupełnie umarły albo umierają, jest bardzo wiele.

Ciekawe jest bardzo, co język robi, żeby z jednego wyrazu zrobić kupę rozmaitych wyrazów. Wymyślił mądrała odmiany. Z jednego wyrazu książka zrobił: książki, książce, książkę, książką, książkom, książkami i książkach. Z jednego czytać — zrobił: czytam, czytasz, czyta, czytamy, czytacie, czytają, czytałem, czytaj, czytajcie i wiele innych. I jeszcze nie koniec: dodaje sobie prze, takiego małego prztyka i to już znaczy co innego: czytałem, to jeszcze nie znaczy, że wiem, co było do końca, a przeczytałem, to znaczy — do końca. — Myślicie, że koniec? Nie. — Jest wyraz: czytanie i znowu: czytania, czytaniem itd. — czytający, czytająca. Aż się w głowie kręci od tego wszystkiego.

I teraz, proszę ja was, przychodzi człowiek — i powiada: trzeba, do licha starego, zrobić jakiś porządek, bo tak, to my nic nie wiemy, co się tu dzieje.

I wyobraźcie sobie tylko sklepik; śledzie leżą razem z papierosami, węgle do samowara z masłem, nafta z chlebem, karmelki z mydłem przychodzisz po kajet za 6 groszy. Zaczyna się szukanie. Sklepikarz mówi, że kajety są tu, a żona mówi, że tam. On krzyczy na nią, a ona na niego — wylewają na głowy balon z naftą, sypie im się na nosy mąka, karmelki wypadają do słoja z kwaszonymi ogórkami. — Nie wiedzą, co mają, czego im brak, co trzeba dokupić — nic, nie wiedzą.

A ludzie, naród muszą przecież wiedzieć, jakie mają wyrazy, co im potrzebne, co trzeba pożyczyc albo można już oddać, — żeby każdy mógł swoim językiem myśleć i mówić.

Im coś jest ważniejsze dla nas, w tym większym porządku i poszanowaniu trzymamy. Im coś jest droższe, tym pilniej strzeżemy. Widzicie, jaki porządek jest w aptekach: każde lekarstwo w osobnym słoiku z napisem.

To samo postanowili zrobić ludzie ze swoją mową. Trzeba wszystkie wyrazy podzielić na gatunki, każdy gatunek pomieścić w innej szufladzie i zaopatrzyć w napis. — Jak wam się zdaje: łatwa to czy trudna praca? — Strasznie trudna. — Ale ludzie nie boją się żadnej pracy. — Wymyślili telefon i telegraf, wymyślili maszynę parową i mikroskop — takie cuda, że jak wam o tym opowiadać będę, aż oddychać przestaniecie ze zdziwienia.

Więc nasamprzód ludzie ustawili tak jakby szereg szuflad i zaczęli gatunkować wyrazy. Na jednej stronie napisali: kto, co? Rzeczownik — i kładli matka, stół, serce, Józio, uczeń, słońce, Wisła, dzwonek, miłość, rzeka, zapałka. W drugiej szufladzie: jaki? — Przymiotnik — itd. A potem zobaczyli, że Wisła i rzeka to niby jedno, a jak powiem rzeka, nikt nie wie, jaka, bo rzek jest dużo na świecie. — Słyszeliście o rzeczownikach własnych?

Pomyślcie, co za śliczny wynalazek te rzeczowniki własne: piszę na kopercie: Stanisław Marczak, Solec Nr...., Warszawa — i koniec — a jakbym zaadresował list, żeby ich nie było? — Wielmożny ten pan z czarnymi wąsami, co to ma dwóch chłopców i dziewczynkę, co to jeden jest wielki łobuz, ale dobrze się uczy — na tej ulicy, co jest niedaleko rzeki — takiej długiej, w tym mieście dużym; co leży na lewym brzegu szerokiej rzeki — i tak bym mógł napisać sto stron tego adresu, a potem to by szukali dwa lata i oddali list zupełnie komu innemu, bo miast takich i rzek, i ulic, i panów z wąsami jest okropnie dużo na świecie.

Widzicie, co to są rzeczowniki własne...

I tak, proszę was, uczeni ludzie powsypywali do każdej szuflady co innego, potem przyglądali się, co podobne, i ustawili te szuflady obok siebie, tak zupełnie, jak np. w sklepiku jest jedna półka z papierosami, a na tej półce dopiero: Polakiewicza, Azis, Zagłoba, Tureckie itd.

Powiem wam o jednym maleńkim wyrazie, a takim mądrym, że aż wierzyć się nie chce. Taki mały wyraz: kto.

Stukają do drzwi, ty się pytasz: „Kto stuka?” A gdyby nie było tego malca: kto — musiałbyś pytać; czy stuka Kazio, czy Mańka, czy ciotka, czy druciarz, czy kum Piotr, czy żebrak. A tamten odpowiadałby ciągle: „Nie, nie, nie”. I mógłbyś tak trzy godziny pytać i nie zgadłbyś wcale. Spocilbyś się jak mysz — wyzłościł — nie jadł — nie spał — tylko pytał ciągle. A tak: „Kto tam?” — i w tym króciutkim kto — siedzą imiona wszystkich ludzi na całym świecie. Kto jest zaimek...

Mowa ludzka, proszę was, to jak stary, tajemniczy, wielki bór, pełen życia, pełen śpiewów głośnych i wesołych — strasznych, nieznanymi szeptów, pełen wesela i smutku, młodości i śmierci. Są w mowie ludzkiej wyrazy mocne i wielkie, jak dęby, które do niebios się wznoszą: męstwo, bohater; — wyrazy wesołe, jak: słońce, pieśń; wyrazy ponure, jak: ucisk, podłość; — wyrazy, które dzwonią jak skowronek w błękitach wiosennego poranku lub syczą jak żmije jadownicze, lub skarżą się jak jęk.

Patrzcie, jakie to ogromnie ciekawe: niektóre wyrazy samym brzmieniem swym naśladowują to, co wyrażają, np.: ryk, grzmot, świst, syk, huk. Stare są to wyrazy, zapewne tak samo pierwsze dla narodu, jak pierwsze dla dziecka: ham — pies albo mu u — krowa.

Wiem, dzieci, że nie lubicie w gramatyce wyjątków. Wiecie, chłopcy, nie powinniśmy się gniewać na wyjątki, bo one dowodzą, że mowa ludzka żyje i pragnie być wolna, że nie chce dać się ludziom spętać, ujarzmić. — Można poukładać w szufladzie pierniki albo papierosy i będą tam leżały aż do końca świata — ale mowa ludzka żyje, rośnie — wyrывa się do wolności — i stąd są owe wyjątki w gramatyce, na które wy się gniewacie. „Ale po co nam gramatyka?” — zapytacie może. — Bo bez gramatyki nie można dobrze mówić ani tym bardziej dobrze pisać. „A dlaczego trzeba bez błędów mówić albo pisać, kiedy i tak mnie rozumieją?” Bo błąd w mowie, to jak plama tłusta i brzydka na fotografii matki, którą kochasz, to jak niestarannie przyszyta łąta na ubraniu, w którym idziesz w gościnę. Źle mówić lub pisać — to znaczy krzywdzić swoją mowę, tych wszystkich, którzy ją budowali. Język smuci się, choruje — gdy ludzie źle nim mówią. Pamiętacie, jakem się rozgniewał, gdy któryś z was po raz trzeci powiedział: „Kajet po arytmetyce”. Zdawało mi się wtedy, że ktoś drzazgę lub igłę wsadził za paznokcie żywemu człowiekowi, któremu z bólu łzy napłynęły do oczu. Gramatyka uczy szanować mowę ludzką i — podziwiać rozum ludzki.

Jeszcze tylko wam dodam, że są ludzie, którzy mówią i piszą gramatycznie i ładnie nawet, ale nieuczciwie i głupio, a są, którzy nie znają gramatyki, do szkoły nie chodzili, bo szkoły pieniądze kosztują, a oni byli biedni i pieniędzy nie mieli — a warci są stokroć więcej od tych, którzy się w szkołach uczyli...



## DZIECKO W RODZINIE

Wszak rodić się nie jest to co zmartwychwstać;  
trumna nas odda, lecz nie spojrzy na nas jak matka.

*Anhelli*

Jak, kiedy, ile — dlaczego? Przeczuwam wiele pytań oczekujących odpowiedzi, wątpliwości, poszukujących wyjaśnienia. I odpowiadam: — Nie wiem.

Ilekcio, odłożywszy książkę, snuć zaczniesz nic własnych myśli, tylekcio książka cel zamierzony osiąga. Jeśli szybko przerzucając karty — odszukiwać będziesz przepisy i recepty, dając się, że ich mało — wiedz, że jeśli są rady i wskazówki, stało się tak nie pomimo, a wbrew woli autora.

Nie wiem i wiedzieć nie mogę, jak nieznani mi rodzice mogą w nieznanymi warunkach wychowywać nieznane mi dziecko — podkreślam — mogą, a nie — pragną, a nie — powinni.

„Nie wiem” — w nauce jest mgławicą stawiania się, wyłaniania nowych myśli coraz bliższych prawdy.

„Nie wiem” — dla umysłu niewdrożonego w naukowe myślenie jest dręczącą pustką.

Chcę nauczyć rozumieć i kochać; cudowne, pełne życia i olśniewających niespodzianek, twórcze — „nie wiem” współczesnej wiedzy w stosunku do dziecka.

Chcę, by zrozumiano, że żadna książka, żaden lekarz nie zastąpią własnej czujnej myśli, własnego uważnego spostrzegania.

Często spotkać się można ze zdaniem, że macierzyństwo uszlachetnia kobietę, że dopiero jako matka dojrzewa duchowo. Tak, macierzyństwo nasuwa płomiennymi zgłoskami zagadnienia obejmujące wszystkie dziedziny życia zewnętrznego i duchowego; ale ich można nie dostrzec, tchórzliwie odsunąć na odległą przyszłość lub obruszać się, że ich rozwiązania kupić nie można.

Kazać komuś dać gotowe myśli to polecić obcej kobiecie, by urodziła własne twe dziecko. Są myśli, które w bólu samemu rodić trzeba, i te są najcenniejsze. One decydują, czy podasz, matko, pierś, czy wymię, czy wychowywać je będziesz jak człowiek, czy jak samica, czy kierować nim będziesz, czy wlec na rzemieniu przymusu, czy tylko, póki małe, bawić się będziesz znajdując w pieszczocie z nim dopełnienie skąpych lub niemiłych pieszczot małżonka; a później, gdy nieco podrośnie, puścisz je samopas lub zwalczać zapragniesz.

### 2. Powiadasz:

„Moje dziecko”.

Kiedy, jeśli nie w okresie ciąży, masz do tego największe prawo? Bicie małego jak pestka brzoskwini serca jest echem twego tętna. Twój oddech daje i jemu tlen powietrza. Wspólna krew przebiega w nim i w tobie, a żadna czerwona krwi kropla nie wie jeszcze, czy pozostanie twoją lub jego, czy wylana będzie i umrze jako danina, którą pobiera tajemnica poczęcia i porodu. Kęs chleba, który żujesz, to dla niego materiał do budowy nóg, na których biegać będzie, skóry, która je będzie okrywać, oczu, którymi patrzeć będzie, mózgu, w którym myśl zapłonie, rąk, które do ciebie wyciągnie, uśmiechu, z którym zawoła: „mamo”.

Razem macie przeżyć stanowczą chwilę: wspólnie wspólnym bólem cierpieć będziecie. Uderzy dzwon — hasło:

— Gotowe.

I jednocześnie ono powie: „Chcę żyć własnym życiem”, ty powiesz: „Żyj teraz własnym życiem”.

Silnymi skurczami trzewi wyrzucać je będziesz — nie dbając o jego ból, mocno i stanowczo przedzierać się ono będzie — nie dbając o twój ból.

Brutalny akt.

Nie — i ty, i ono — wykonacie sto tysięcy drgnień niedostrzegalnych, subtelnych, cudownie zręcznych, by zabierając swój dział życia nie zabrać więcej, niż wam się z prawa należy, powszechnego, odwiecznego.

„Moje dziecko”.

Nie, nawet w ciągu miesięcy ciąży ani w godzinach porodu dziecko nie jest twoje.

### 3. Dziecko, które urodziłaś, waży dziesięć funtów.

Jest w nim ośm funtów wody i garść węgla, wapnia, azotu, siarki, fosforu, potasu, żelaza. Urodziłaś ośm funtów wody i dwa popiołu. A każda kropla tego t w o j e g o dziecka była parą chmury, kryształem śniegu, mgłą, rosą, źródłem, mętem kanału miejskiego. Każdy atom węgla czy azotu wiązał się w miliony różnych połączeń.

Tyś tylko zebrała to wszystko, co było.

Ziemia zawieszona w nieskończoności.

Bliski towarzysz — słońce — pięćdziesiąt milionów mil.

Średnica drobnej ziemi naszej to tylko trzy tysiące mil ognia z cienką na dziesięć mil skorupą ostygłą.

Na cienkiej skorupie wypełnionej ogniem, wśród oceanów — rzucona garść łądu.

Na lądzie, wśród drzew i krzewów, owadów, ptactwa, zwierząt — mrowią się ludzie.

Wśród milionów ludzi urodziłaś jeszcze jedno — co? — żdźbło, pyłek — nic.

Takie to kruche, że je zabić może bakteria, która tysiąc razy powiększona jest dopiero punktem w polu widzenia...

Ale to „nic” jest bratem z krwi i kości fali morskiej, wichru, błyskawicy, słońca, drogi mlecznej. Ten pyłek jest bratem kłosu, trawy, dębu, palmy — pisklęcia, lwiątką, żrebaka, szczenięcia.

Jest w nim, co czuje, bada, — cierpi, pragnie, raduje się, kocha, ufa, nienawidzi — wierzy, wątpi, przygarnia i odtrąca.

Ten pyłek ogarnia myślą wszystko: gwiazdy i oceany, góry i przepaście. A czym jest treść duszy, jeśli nie wszechświatem, jeno bez wymiarów?

Oto sprzeczność w istocie człowieczej, powstałej z prochu, w której Bóg zamieszkał.

### 4. Powiadasz:

„Moje dziecko”.

Nie, to dziecko wspólne, matki i ojca, dziadów i pradziadów.

Czyjeś odległe „ja”, które spało w szeregu przodków, głos spróchniałej, dawno zapomnianej trumny nagle przemawia w twym dziecku.

Trzysta lat temu, wśród wojny czy pokoju, ktoś kimś zawiądnął, w kalejdoskopie krzyżujących się ras, narodów, klas — za zgodą czy przemocą, w momencie przerażenia czy miłosnego upojenia — zdradził czy uwiódł, nikt nie wie, kto, kiedy, ale Bóg zapisał w księdze przeznaczeń, antropolog odgadnąć pragnie z kształtu czaszki i barwy włosów.

Niekiedy dziecko wrażliwe fantazjuje, że jest podrzutkiem w domu rodziców. Tak bywa: jego rodzic umarł przed wiekiem.

Dziecko jest pergaminem szczelnie zapisanym drobnymi hieroglifami, których część tylko zdołasz odczytać, a niektóre potrafisz wytrzeć lub tylko zakreślić i własną zapelnisz treścią.

Straszne prawo? Nie, piękne. Ono w każdym twym dziecku daje pierwsze ogniwo w nieśmiertelnym łańcuchu pokoleń. Poszukaj tej uspionej w twym cudzym dziecku własnej cząstki. Może dostrzeżesz, może nawet rozwiniesz.

Dziecko i bezmiar.

Dziecko i wieczność.

Dziecko — pyłek w przestrzeni.

Dziecko — moment w czasie.

### 5. Mówisz:

„Ono powinno... Chcę, by ono...”

I szukasz wzoru, jakim być ma, szukasz życia, jakiego dlań pragniesz.

Nic to, że wokół miernota i przeciętność. Nic, że wokoło szarzyzna.

Ludzie drepcą, krzątają się, zabiegają — drobne troski, nikłe dążenia, poziome cele...

Nie spełnione nadzieje, gryzący żal, wieczysta tęsknota...

Krzywda panuje.

Oschła obojętność lodem ścina, obłuda dech tłoczy.

Co ma kły i pazury, napastuje, co ciche, wtula się w siebie.

I nie tylko cierpią, ale się szargają...

Kim ma być?

Bojownikiem czy tylko pracownikiem, wodzem czy szeregowcem? Czy tylko szczęśliwe?

Gdzie szczęście, czym — szczęście? Czy znasz drogę? Czy są, którzy by znali?

Czy podłazysz?...

Jak przewidzieć, jak osłonić?

Motyl nad spienionym potokiem życia. Jak dać trwałość, a nie obciążyć lotu, hartować, a nie nużyć skrzydeł?

Więc przykładem własnym, pomocą, radą, słowem? A jeśli odrzuci?

Za lat piętnaście — ono wpatrzone w przyszłość, ty — w przeszłość. W tobie wspomnienia i przyzwyczajenia, w nim zmienność i harda nadzieja. Ty wątpisz, ono oczekuje i ufa, ty się lękasz, ono bez trwogi.

Młodość, jeśli nie drwi, nie wyklina, nie pogardza, zawsze pragnie zmienić wadliwą przeszłość.

Tak być winno. A jednak...

Niech poszukuje, byle nie błądziło, niech się wspina, byle nie upadło, niech karczuje, byle rąk nie pokrwawiło, niech się zмага, byle ostrożnie — ostrożnie.

Ono powie:

„Ja mam inne zdanie. Dość opieki”.

Więc nie ufasz?

Więc niepotrzebna ci jestem?

Ciąży ci moja miłość?

Dziecko nieopatrne, które nie znasz życia, dziecko biedne, dziecko niewdzięczne!

## 6. Niewdzięczne.

Czy ziemia wdzięczna słońcu, że świeci? Czy drzewo wdzięczne ziarnu, że z niego wyrosło? Czy słowik matce śpiewa, że go piersią grzała?

Czy oddajesz dziecku, co od rodziców wzięłaś, czy tylko pożyczasz, by odebrać, zapisując skrzętnie i obliczając procenty?

Czy miłość jest zasługą, za którą żadasz zapłaty?

„Matka-wrona miota się jak obłąkana, siada niemal na ramionach chłopca, czepia się dziobem jego kija, zwisa tuż nad nim i bije głową jak młotem w pień, odgryza małe gałązki i kracze zachryplym, wysiłonym, suchym głosem rozpaczy. Gdy chłopak wyrzuci pisklę, rzuca się na ziemię z wlokącymi się skrzydłami, otwiera dziób, chce krakać — głosu nie ma, bije więc skrzydłami i skacze oszalą, śmieszna, do nóg chłopaka (...) Gdy zabijają wszystkie jej dzieci, wylatuje na drzewo, odwiedza puste gniazdo i kręcąc się na nim wkoło, myśli nad czymś” (Żeromski),

Miłość macierzyńska to żywioł. Ludzie ją po swojemu zmienili. Cały świat cywilizowany, wyłączając nie tknięte kulturą jego masy, uprawia dzieciobójstwo. Małżeństwo, które ma dwoje dzieci, gdy mogło mieć dwanaścioro, to zabójcy dziesięciorga, które się nie urodziły, między którymi było jedno, właśnie to — „ich dziecko”. Między nie urodzonymi zabili może najcenniejsze.

Więc co czynić?

Należy, wychowywać nie te dzieci, które się nie urodziły, a te, które się rodzą i żyć będą.

*Niedojrzałe nadqsanie.*

*Długo nie chciałem rozumieć, że musi istnieć rachunek i troska o dzieci, które się rodzą. W niewoli zaboru, poddany, nie obywatel, obojętnie nie pamiętałem, że wraz z dziećmi rodzić trzeba szkoły, warsztaty pracy, szpitale, kulturalne warunki bytu. Nierozważną płodność odczuwam dziś jako krzywdę i lekkomyślny występki. — Jesteśmy może w przededniu nowych praw dyktowanych przez eugenikę i politykę populacyjną.*

## 7. Czy zdrowe?

Jeszcze dziwno, że ono nie jest już nią samą. Jeszcze niedawno w zdwojonym życiu obawa o dziecko była częścią obawy o siebie.

Tak bardzo pragnęła, aby się już skończyło, tak bardzo chciała mieć już tę chwilę poza sobą. Sądziła, że się uwolni od trosk i obaw.

A teraz?

Rzecz dziwna: dawniej dziecko było jej bliższe, bardziej własne, którego bezpieczeństwa była pewniejsza, lepiej rozumiała. Sądziła, że wie, że będzie umiała. Z chwilą, gdy obce ręce — doświadczony, płatny, pewny siebie — wzięły je w opiekę, sama, odsunięta na drugi plan, czuje niepokój.

Świat je już zabiera.

I w długie godziny przymusowej beczynności zjawia się szereg pytań: co mu dałam, jak wyposażyłam, jak zabezpieczyłam?

Zdrowe? Więc czemu płacze?

Czemu chude, źle ssie, nie śpi, śpi tak wiele, dlaczego główkę ma dużą, nóżki pokurczone, piąstki zaciśnięte, skórę czerwoną, białe pryszczki na nosie, dlaczego zezuje, czka, kichnęło, krztusi się, ochrypło?

Tak być powinno? A może kłamią?

Patrzy na to małe, nieradne, nie podobne do żadnego z równie małych i bezzębnych, które widywała na ulicy, w ogrodzie. Czy być może, aby i ono za trzy, cztery miesiące?

A może się mylą?

Może lekceważą?

Matka nieufnie słucha głosu lekarza, śledzi go wzrokiem: pragnie wyczytać z oczu, wzruszenia ramion, wzniesienia brwi, zmarszczki na czole: czy mówi prawdę, czy się nie waha, czy dostatecznie skupiony.

8. „Ładne? Nie zależy mi na tym”. Tak mówią nieszczercze matki, które chcą podkreślić swój poważny pogląd na zadania wychowawcze.

Uroda, wdzięk, postawa, mile brzmiący głos — to kapitał, który dałaś dziecku; jak zdrowie, jak rozum ułatwia drogę życia. Nie należy przeceniać wartości urody, nie wsparta innymi może przynieść szkodę. Tym bardziej wymaga czujnej myśli.

Inaczej wychowywać należy dziecko ładne, inaczej brzydkie. Ale że nie ma wychowania bez udziału dziecka, więc nie należy ukrywać wstydliwie zagadnienia urody przed nim, gdyż to właśnie psuje.

Ta niby pogarda dla urody jest przeżytkiem średniowiecza. Człowiek, wrażliwy na piękno kwiatu, motyla, pejzażu, miałby być obojętny na piękno człowieka?

Chcesz ukryć przed dzieckiem, że ładne? Jeśli mu tego nie powie żadna z licznych osób, które je otaczają w domu, powiedzą to obcy ludzie na ulicy, w sklepie, w ogrodzie, wszędzie — okrzykiem, uśmiechem, spojrzeniem, dorosli czy rówieśnicy. Powie upośledzenie dzieci brzydkich i szpetnych. Ono zrozumie, że uroda daje przywileje, jak rozumie, że ręka jest jego ręką, którą się może posługiwać.

Jak słabe dziecko może się rozwijać pomyślnie, a zdrowe ulec katastrofie, tak ładne może być nieszczęśliwe, a uzbrojone w pancierz brzydoty — nie wyróżniane, nie dostrzegane — może żyć szczęśliwe. Bo musisz, musisz pamiętać, że życie każdą wartość dodatnią dostrzegłszy, że cenna — zapagnie kupić, wyłudzić lub ukraść. Na tej równowadze tysięcznych drgnień wyłaniają się niespodzianki, które wychowawcę zdumiewają w bolesnym częstokroć: dlaczego?

— Nie zależy mi na urodzie! Rozpoczynasz od błędu i fałszu.

9. Czy mądre?

Jeśli matka zrazu zapytuje trwożnie, niezadługo będzie żądała.

Jedz, choć syt jesteś, choćby z obrzydzeniem; idź spać bodaj ze łzami, choć godzinę czekać będziesz na sen, bo musisz, bo żądam, abys było zdrowe.

Nie baw się piaskiem, noś obcisłe spodenki, nie targaj włosków, bo żądam, byś było ładne.

„Ono jeszcze nie mówi... Ono jest starsze od... a pomimo to jeszcze... Ono się źle uczy...”

Zamiast patrzeć, by poznać i wiedzieć, bierze się pierwszy z brzegu przykład „udanego dziecka” — i stawia żądanie własnemu: oto wzór, do którego masz być podobne.

Nie wolno, by zamożnych rodziców dziecko zostało rzemieślnikiem. Niech raczej będzie nieszczęśliwym i zdemoralizowanym człowiekiem. Nie miłość dziecka, a egoizm rodziców, nie dobro jednostki, a ambicja gromady, nie szukanie dróg, a pęta szablonu.

Są umysłowości czynne i bierne, żywe i apatyczne, wytrwałe i kapryśne, uległe i przekorne, twórcze i naśladowcze, błyskotliwe i rzetelne, konkretne i abstrakcyjne, realne i literackie; pamięć wybitna i mierna; spryt w posługiwaniu się zdobytą wiadomością i uczciwość wahań, wrodzony despotyzm i refleksyjność, i krytycyzm; jest rozwój przedwczesny i opóźniony, jedno- lub różnostronność zainteresowań.

Ale co to kogo obchodzi?

„Niech skończy przynajmniej cztery klasy” — mówi rodzicielska rezygnacja.

Przeczuwając świetny renesans pracy fizycznej widzę do niej kandydatów ze wszystkich klas społecznych. Tymczasem walka rodziców i szkoły z każdą wyjątkową, nietypową, słabą czy niezrównoważoną inteligencją.

Nie — czy mądre, raczej — jak mądre,

*Naiwny apel do rodziny, by dobrowolnie poniosła ciężką ofiarę. Badania inteligencji i próby psychotechniczne skutecznie hamować będą samolubne ambicje. Rozumie się, pieśń przyszłości odległej.*

10. Dobre dziecko.

Strzec się należy, by nie mieszać d o b r e z — w y g o d n e.

Mało płacze, w nocy nas nie budzi, ufne, pogodne — dobre.

Złe — kapryśne, krzykliwe bez widomego powodu, daje matce więcej przykrych wzruszeń niż miłych.

Niezależnie od samopoczucia są noworodki dziedzicznie mniej i więcej cierpliwe. Tu wystarcza jednostka dolegliwości, by dać reakcję dziesięciu jednostek krzyku, tam inne na dziesięć jednostek niedomagania reaguje jednostką płaczu.

Jedno ospałe, ruchy leniwe, ssanie powolne, krzyk bez żywego napięcia, wyraźnego afektu.

Drugie pobudliwe, ruchy żywe, sen czujny, ssanie zapalczywe, krzyk aż do sinicy.

Zaniesie się, oddech traci, cucić je trzeba, niekiedy z trudem powraca do życia. Wiem: choroba, leczymy ją tranem, fosforem, bezmleczną dietą. Ale ta choroba pozwala niemowlęciu wyrosnąć na dojrzałego człowieka o potężnej woli, żywiołowym parciu i genialnym umyśle. Napoleon zanosił się w niemowlęctwie.

Całe wychowanie współczesne pragnie, by dziecko było wygodne, konsekwentnie krok za krokiem dąży, by uspić, stłumić, zniszczyć wszystko, co jest wolą i wolnością dziecka, hartem jego ducha, siłą jego żądań i zamierzeń.

Grzeczne, posłuszne, dobre, wygodne, a bez myśli o tym, że będzie bezwolne wewnątrz i niedołączne życiowo.

11. Bolesną niespodzianką, z którą spotyka się młoda matka, jest krzyk dziecka.

Wiedziała, że dzieci płaczą, ale myśląc o własnym — przeoczyła; oczekiwała tylko czarownych uśmiechów.

Będzie przestrzegająca jego potrzeb, wychowywać będzie rozumnie, współcześnie, pod kierunkiem doświadczonego lekarza. Jej dziecko nie powinno płakać.

Ale przychodzi noc, gdy oszołomiona, z żywym echem przeżytych ciężkich godzin, które wieki trwały. Ledwie poczuła słodycz znużenia bez troski, rozleniwienia bez wyrzutu, spoczynku po dokonanej pracy, rozpaczliwym wysiłku, pierwszym w wydelikacjonym życiu. Ledwo uległa złudzeniu, że się skończyło, bo ono — to drugie — samo już oddycha. Pograżona w ciche wzruszenia, zdolna zadawać tylko pełne tajemniczych szeptów pytania naturze, nie żądając nawet odpowiedzi. Gdy nagle...

Krzyk despotyczny dziecka, które czegoś żąda, na coś się skarży, pomocy się domaga, a ona nie rozumie.

Czuwaj!

„Kiedy nie mogę, nie chcę, nie wiem”.

Ten pierwszy krzyk przy świetle nocnej lampki jest zapowiedzią walki zdwojonego życia: jedno życie dojrzałe, zmuszone do ustępstw, zrzeczeń, ofiar, broni się; drugie nowe, młode, które wywalcza — własne — dla siebie prawa.

Dziś nie oskarżasz go! ono nie rozumie, cierpi. Ale jest na tarczy czasu godzina, gdy powiesz w przyszłości: „i ja czuję, i ja cierpię”.

12. Są noworodki i niemowlęta, które mało płaczą, tym lepiej. Ale są i takie, którym w krzyku na czole nabrzmiewają żyły, wypina się ciemniaczko, szkarłatny kolor zalewa twarz i głowę, sinieją wargi, drży bezzębna szczeka, brzuch się wzdyma, pięści kurczowo ściskają, nogi biją powietrze. Nagle milknie bezsilne, z wyrazem zupełnego poddania, „z wyrzutem” spogląda na matkę, mruży oczy z błaganiem o sen i po paru szybkich oddechach znów podobny, a może jeszcze silniejszy atak krzyku.

Czy być może, aby to wytrzymały drobne płuca, małe serce, młody mózg?

Ratunku, lekarza!

Wieki mijają, nim przyszedł, wysłuchał z pobłażliwym uśmiechem jej obaw, taki obcy, nieprzystępny, zawodowiec, dla którego to dziecko jest jednym z tysiąca. Przyszedł, by za chwilę odejść do innych cierpień, słuchać innych skarg, przyszedł teraz, kiedy jest dzień, wszystko zdaje się

być weselsze: bo słońce, bo ludzie chodzą po ulicy, przyszedł, gdy dziecko akurat śpi, zapewne wyczerpane po bezsennych godzinach, kiedy ledwo znać ślady nikłe upiornej nocy.

Matka słucha, niekiedy nieuważnie słucha. Jej marzenie o lekarzu-przyjacielu, kierowniku pracy, przewodniku mozolnej podróży bezpowrotnie pierzcha.

Wręcza honorarium i pozostaje znów sama z gorzkim przeświadczeniem, że lekarz jest — obojętny, obcy człowiek, który nie zrozumie. A zresztą sam się waha, nic stanowczego nie orzekł.

13. Gdyby młoda matka wiedziała, jak decydujące są te pierwsze dni i tygodnie, nie tyle dla zdrowia dziecka dziś, ile dla przyszłości obojga!

A jak je łatwo zmarnować!

Zamiast stwierdziwszy pogodzić się z myślą, że jak dla lekarza jej dziecko o tyle jest przedmiotem zainteresowania, o ile przynosi dochód lub zadowalnia ambicje, tak samo dla świata ono jest niczym, tylko dla niej cenne...

Zamiast pogodzić się ze współczesnym stanem wiedzy, która domyśla się, usiłuje wiedzieć, bada i kroczy naprzód — wie, ale nie ma pewności, przynosi pomoc, ale nie daje gwarancji...

Zamiast mężnie stwierdzić: wychowanie dziecka to nie miła zabawa, a zadanie, w które trzeba włożyć wysiłek bezsennych nocy, kapitał ciężkich przeżyć i wiele myśli...

Zamiast przetopić to w ogniu uczucia na rzetelną świadomość, bez złudzeń, bez dziecinnego zadąsania i samolubnej goryczy, ona może dziecko wraz z piastunką przenieść do odległego pokoju, bo „niezdolna patrzeć” na cierpienie maleństwa, „niezdolna słuchać” bolesnego wyzwania, może znów i znów zwoływać lekarza i lekarzy, nie zdobywszy żadnego z doświadczeń, tylko zmaltretowana, oszołomiona, ogłupiała.

Jak naiwna jest radość matki, że rozumie pierwszą, niewyraźną mowę dziecka, zgaduje przekręcone i nieomówione wyrazy.

Dopiero teraz?... Tylko tyle?... Nie więcej? A mowa płaczu i śmiechu, mowa spojrzenia i skrzywienia ust, mowa ruchów i ssania?...

Nie zrzekaj się tych nocy. One dają to, czego nie da książka, niczyja rada. Bo tu wartość nie tylko w wiedzy, ale w głębokim przewrocie duchowym, który nie pozwala powracać do jałowych rozmyślań: „co być by mogło, co być powinno, co byłoby dobre, gdyby...”, ale uczy działać w warunkach, które są.

Podczas tych nocy urodzić się może cudowny sprzymierzeniec anioł-stróż dziecka — intuicja macierzyńskiego serca, jasnovidzenie, na które się składają: badawcza wola, czujna myśl, nie zaćmione uczucie.

14. Bywało tak niekiedy: wzywa mnie matka.

— Właściwie dziecko jest zdrowe, nic mu nie jest. Tylko chciałabym, żeby je pan zobaczył.

Oglądam, daję kilka wskazówek, odpowiadam na pytania. Ależ zdrowe, miłe, wesole.

— Do zobaczenia.

I tego wieczora lub nazajutrz:

— Panie doktorze, dziecko ma gorączkę.

Matka dostrzegła to, czego ja, lekarz, nie umiałem wyczytać w powierzchownym badaniu w ciągu krótkiej wizyty.

Godzinami pochylona nad małym, nie mając metody obserwacji, nie wie, co dostrzega, nie ufając sobie nie odważa się przyznać do poczynionych subtelnych spostrzeżeń.

A zauważyła, że dziecko, które nie ma chrypki, ma jednak głos cokolwiek matowy. Gaworzy cokolwiek mniej lub ciszej. Raz drgnęło we śnie trochę silniej niż zwykle. Roześmiało się po obudzeniu, ale słabiej. Ssało cokolwiek wolniej, może z dłuższymi pauzami, jakby roztargnione. Czy podczas śmiechu się skrzywiło, a może się tylko zdawało? Ulubioną zabawkę rzuciło z gniewem — dlaczego?

Stu objawami, które dostrzegło jej oko, ucho, brodawka piersi, stu mikroskargami powiedziało:

„Jestem niedysponowane. Nietęgo się dziś czuję”.

Matka nie wierzyła, że widzi to, co widziała, bo o żadnym z podobnych objawów nie czytała w książce.

(...)

30. Niemowlę dąży mozolnie do opanowania zewnętrznego świata: pragnie zwalczyć otaczające złe wrogie moce, zmusić do służenia swej pomyślności dobre opiekuńcze duchy. Niemowlę ma dwa

zaklęcia, którymi się posługuje, zanim zdobędzie trzecie cudowne narzędzie woli: własne ręce. Te dwa zaklęcia są: krzyk i ssanie.

Jeśli zrazu niemowlę krzyczy, że mu coś dolega, szybko uczy się krzyczeć, żeby mu nie dolegało. Pozostawione samo płacze, ale uspokaja się słysząc kroki matki; chce ssać, płacze, ale płakać przestaje, gdy widzi przygotowania do karmienia.

Ono zarządza w zakresie posiadanych wiadomości (mało ich ma) i rozporządzanych środków (słabe są). Popelnia błędy generalizując poszczególne zjawiska i wiążąc dwa następujące po sobie fakty jako przyczynę i skutek (*post hoc, propter hoc [dosłownie: po tym, wskutek tego]*). Czy zajęcia i sympatia, jaką darzy swe trzewiki, nie w tym ma źródło, że trzewikom przypisuje swą zdolność chodzenia? Tak samo płaszczyk jest tym czarodziejskim dywanem z bajki, który przenosi je w świat dziwów — na spacer.

Podobne przypuszczenia mam prawo czynić. Jeśli historyk ma prawo domyślać się, czego chciał Szekspir tworząc *Hamleta*, ma prawo pedagog czynić nawet błędne przypuszczenia, które w braku innych dają mu jednak praktyczne wyniki. A więc:

W pokoju duszno. Niemowlę ma suche wargi, mało i gęstą, ciągnącą się ślinę, kaprysi. Mleko jest pożywieniem, a jemu chce się pić, więc dać mu wody. Ale ono „nie chce pić”: kręci głową, wytrąca z rąk łyżkę. Ono chce pić, tylko nie umie jeszcze. Czując na wargach pożądany płyn rzuca głową, szuka brodawki. Unieruchomiam mu głowę lewą ręką, łyżkę przykładam do górnej wargi. Ono nie pije, a ssie wodę, chciwie ssie, wypilo pięć łyżek i spokojnie zasypia. Jeśli raz i drugi niezręcznie podam mu płyn z łyżki, zakrztusi się i dozna przykrości, wówczas naprawdę z łyżki pić nie chce. Przykład drugi:

Niemowlę stale kapryśne, niezadowolone uspokaja się przy piersi, podczas przewijania, kąpieli, przy częstej zmianie pozycji. To niemowlę ma swędzącą wysypkę. Odpowiadają, że nie ma wysypki. Zapewne będzie. I po dwóch miesiącach wysypka się zjawia.

Trzeci przykład:

Niemowlę ssie swe ręce, gdy mu coś dolega, wszelkie przykre wrażenia, więc i niepokój niecierpliwego oczekiwania, pragnie ukoić dobroczynnym, dobrze mu znanym ssaniem. Ssie pięści, gdy głodne, spragnione, gdy przekarmiane ma niesmak w ustach, gdy ma ból, gdy przegrzane, gdy swędzi je skóra lub dziąsła. Skąd pochodzi, że lekarz zapowiada zęby, że niemowlę doznaje wyraźnie przykrych uczuć w szczęce czy dziąsłach, a zęby się nie pokazują w ciągu wielu tygodni? Czy przerysowany ząb nie drażni drobnych gałązek nerwu już w samej kości? Tu dodam, że ciele, zanim mu rogi wyrosną, cierpi podobnie.

I tu taka jest droga: instynkt ssania, ssanie, żeby nie było cierpienia, ssanie jako przyjemność czy nałóg.

31. Powtarzam: zasadniczym tonem, treścią psychicznego życia niemowlęcia jest dążenie do opanowania nieznanego żywiołu, tajemnicy otaczającego je świata, skąd płynie dobro i zło. Chcąc opanować, pragnie wiedzieć.

Powtarzam: dobre samopoczucie ułatwia obiektywne badanie, wszelkie przykre uczucia płynące z wnętrza jego ustroju, więc w pierwszym rzędzie ból, załamują chwijną świadomość. A żeby się o tym przekonać, trzeba mu się przyglądać w zdrowiu, cierpieniu i chorobie.

Odczuwając ból niemowlę nie tylko krzyczy, ale i słyszy krzyk, odczuwa ten krzyk w gardle, widzi go poprzez przymrużone powieki w zamazanych obrazach. Wszystko to jest silne, wrogie, groźne, niepojęte. Ono musi dobrze pamiętać te chwile, bać się ich; a nie znając jeszcze siebie wiąże je z przypadkowymi obrazami. I tu zapewne mamy źródło wielu niezrozumiałych w niemowlęciu sympatii, antypatii, obaw i dziwactw.

Badania nad rozwojem intelektu niemowlęcia są niezmiernie trudne, bo ono po wielokroć uczy się i zapomina: jest to rozwój z szeregiem posunięć, zaciska i cofań. Może chwijną samopoczucia jego gra w tym ważną, może najważniejszą rolę.

Niemowlę bada swe ręce. Prostuje, wodzi w prawo i w lewo, oddala, zbliża, rozstawia palce, zaciska w pięść, mówi do nich i czeka na odpowiedź, prawą chwytając lewą rękę i ciągnie, bierze grzechotkę i patrzy na dziwnie zmieniony obraz ręki, przekłada ją z jednej do drugiej, bada ustami, natychmiast wyjmując i znów patrzy powoli, uważnie. Rzuca grzechotkę, pociąga za guzik kołdry, bada powód doznanego oporu. Ono nie bawi się, miejcież, do licha, oczy i dostrzeżcie wysiłek woli, by zrozumieć! To uczony w laboratorium, wmyślony w zagadnienie najwyższej wagi, a które wyslizguje się jego rozumieniu.

Niemowlę narzuca swą wolę przez krzyk. Później przez mimikę twarzy i rąk, wreszcie już — przez mowę.

(...)

59. Czym jest dziecko? Czym jest bodaj tylko fizycznie? Jest ustrojem rosnącym. Słusznie. Ale przyrost wagi i miary jest tylko jednym zjawiskiem obok wielu. Już nauka zna parę epizodów tego wzrostu: jest nierównomierny, są okresy żywego i ospałego tempa. Prócz tego wiemy, że dziecko nie tylko rośnie, ale zmienia proporcje.

Szeroki ogół nawet tego nie wie. Ileż razy matka wzywa lekarza, skarżąc się, że dziecko zmizerniało, schudło, ciało zrobiło się wiotkie, twarzyczka i główka zmaląła. Nie wie ona, że niemowlę wchodząc w okres pierwszego dzieciństwa traci fałdy tłuszczu, że z rozwojem klatki piersiowej głowa skrywa się w rozszerzających się barkach, że zarówno członki, jak narządy mają rozwój odmienny, że inaczej wzrastają mózg, serce, żołądek, czaszka, oko, kości kończyn, że gdyby tak nie było, dorosły człowiek byłby potworem o olbrzymiej głowie na krótkim opasłym kadłubie, że nie mógłby się poruszać na dwóch tłuszczowych wałkach nóg, że zmiana proporcji towarzyszy wzrostowi.

Mamy parę dziesiątków tysięcy pomiarów, parę niezupełnie zgodnych z sobą krzywych przeciętnego wzrostu, nie wiemy nic, jaką wartość mają napotykanne przyśpieszenia, opóźnienia i dewiacje rozwoju. Bo znając piąte przez dziesiąte anatomie wzrostu, nie znamy jego fizjologii, bo badaliśmy sumiennie chore dziecko, a od niedawna zaczęliśmy się z dala przyglądać zdrowemu. Bo od lat stu kliniką naszą jest szpital, a nie zaczął być nią jeszcze zakład wychowawczy.

60. Dziecko się zmieniło. Coś z dzieckiem się stało. Nie zawsze matka umie wskazać, na czym polega zmiana, natomiast ma gotową odpowiedź na pytanie, czemu ją przypisać należy.

— Dziecko się zmieniło po ząbkach, po szczepieniu ospy, po odstawieniu od piersi, potem jak wypadło z łóżka.

Chodziło już, nagle chodzić przestało; mrucało, by je wysadzić, znów się moczy; „nic” nie je, śpi niespokojnie, mało lub zbyt wiele, stało się kapryśne, nadmiernie ruchliwe lub ospałe — schudło.

Inny okres:

Po wstąpieniu do szkoły, po powrocie ze wsi, po odrze, po zaleconych kąpielach, po przestrachu z powodu pożaru. Zmiana w śnie i łaknieniu, zmiana charakteru: dawniej posłuszne, teraz samowolne, dawniej pilne, teraz roztargnione i leniwe. Blade, pochyło się trzyma, jakieś brzydkie narowy. Może źle wychowani koledzy, może nauka, może chore?

Dwuletni pobyt w Domu Sierot, przyglądanie się raczej dziecku niż studia nad nim, pozwoliły ustalić, że to wszystko, co znane jest jako niezrównoważenie okresu dojrzewania, przeżywa dziecko parokrotnie w postaci mniej jaskrawej jako małe przełomy, lata równie krytyczne, tylko mniej bijące w oczy, a więc nie dostrzeżone jeszcze przez naukę.

Dążąc do jedności w poglądzie na dziecko pragną je niektórzy rozpatrywać jako ustrój znudzony. Stąd większa potrzeba snu, słaba odporność przeciw chorobom, urażliwość narządów, słaba psychiczna wytrzymałość. Pogląd słuszny, ale nie dla wszystkich etapów rozwojowych. Dziecko bywa na przemian silne, rześkie, pogodne, to słabe, zmęczone i chmurne. Jeśli w okresie krytycznym zachoruje, skłonni jesteśmy mniemać, że choroba już w nim nurtowała, ja sądzę, że choroba rozwinęła się na terenie osłabionym przelotnie, że bądź przyczajona czekała, kiedy będą najpomyślniejsze warunki dla napadu, bądź przypadkowo z zewnątrz zawleczona rozgościła się nie znalazłszy oporu.

Jeśli w przyszłości nie będziemy dzielili cyklu życia na sztuczne: niemowlę, dziecko, młodzieniec, człowiek dojrzały i starzec, wytyczną dla jego podziału będzie nie wzrost i rozwój zewnętrzny, a nieznanne nam jeszcze głębokie przeobrażenie ustroju jako całości, które rozwinął Charcot w wykładzie o ewolucji artretyzmu, od kołyski do grobu, poprzez dwa pokolenia.

(...)

64. Czym jest dziecko jako odmienna do naszej organizacja duchowa? Jakie są jej cechy, potrzeby, jakie kryje możliwości nie dostrzeżone? Czym jest ta połowa ludzkości żyjąca razem i obok nas w tragicznym rozdwojeniu? Nakładamy na nią brzemień obowiązków jutrzejszego człowieka, nie dając żadnego z praw człowieka dzisiejszego.

Jeśli podzielić ludzkość na dorosłych i dzieci, a życie na dzieciństwo i dojrzałość, to tego dziecka na świecie i w życiu jest bardzo, bardzo dużo. Tylko że zapatrzeni we własną walkę, własną troskę nie dostrzegamy go, jak dawniej nie dostrzegaliśmy kobiety, chłopa, ujarzmionych warstw i narodów.



Urządziliśmy się tak, by nam dzieci najmniej przeszkadzały, najmniej domyślały się, czym istotnie jesteście i co istotnie robimy.

W jednym z paryskich domów dziecięcych widziałem dwie poręcze schodów: wysoką dla dorosłych, niską dla małych. Poza tym geniusz wynalazcy wyczerpał się w jednej ławce szkolnej. To mało, bardzo mało. Spójrzcie na żebracze płytki dla dzieci z wyszczerbionym kubkiem na zardzewiałym łańcuchu przy studni w ogrodach magnackich stolic Europy.

Gdzie domy i ogrody, warsztaty i pola doświadczalne, narzędzia pracy i poznania dla dzieci, ludzi jutra? Jeszcze jedno okno, jeszcze sionka, dzieląca klasę od prewetu, tyle tylko dała architektura; jeszcze koń ceratowy i szabelka blaszana, tyle dał przemysł; malowanki na ścianach i slojd (roboty ręczne) — niewiele; bajka, nie my ją wymyślili.

W naszych oczach z nałożnicy wyłoniła się kobieta-człowiek. Przez wieki ulegała przemocą narzuconej roli, tworzyła typ urobiony przez samowolę i egoizm mężczyzny, który nie chciał widzieć wśród ludu kobiety-pracownicy, jak nie widzi jeszcze dziecka-pracownika.

Dziecko nie przemówiło, ono wciąż jeszcze słucha.

Dziecko — sto masek, sto ról zdolnego aktora. Inne wobec matki, inne wobec ojca, babki, dziadka, inne wobec surowego i łagodnego nauczyciela, inne w kuchni, wśród rówieśników, inne wobec bogatych i biednych, inne w codziennej i świątecznej odzieży. Naiwne i przebiegłe, pokorne i wyniosłe, łagodne i mściwe, dobrze ułożone i samowolne umie tak się ukryć do czasu, tak zamurować w sobie, że nas zwodzi i wyzyskuje.

W dziedzinie instynktów brak mu tylko jednego, raczej jest, ale rozproszony, jako mgławica erotycznych przeczuć.

W dziedzinie uczuć przewyższa nas siłą przez nieurobienie hamulców.

W dziedzinie intelektu co najmniej nam dorównywa, tylko mu brak doświadczenia.

Dlatego tak często dojrzały bywa dzieckiem, a ono dojrzałym człowiekiem.

Cała reszta różnicy to, że nie zarobkuje, że będąc na utrzymaniu zmuszone ulegać.

*Już domy dla dzieci mniej podobne do koszar i klasztorów; prawie szpitale. Jest higiena, ale nie ma w nich uśmiechu, radości, niespodzianki, swawoli; tylko inaczej poważne, jeśli nie surowe. Nie dostrzegła jeszcze architektura; nie ma „stylu dziecka”. Dorosła elewacja gmachu, dorosła proporcja, starczy chłód szczegółów. Francuz mówi, że Napoleon dzwon klasztorowego wychowania zastąpił bębniem — słusznie; dodam, że nad duchem wychowania współczesnego ciąży gwizdek fabryczny.*

(...)

73. Nawet zabawy dzieci traktowane felietonowo nie doczekały się gruntownych studiów klinicznych.

Należy pamiętać, że bawią się nie tylko dzieci, ale i dorośli, że dzieci nie zawsze bawią się chętnie, że nie wszystko, co zwiemy zabawą, jest nią istotnie, że wiele zabaw dzieci jest naśladownictwem poważnych czynności ludzi dojrzałych, że inne są zabawy na wolnym terenie, inne w murach miasta i ścianach pokoju, że zabawy dziecka wolno nam rozpatrywać li tylko pod kątem widzenia zajmowanego przez nie we współczesnym społeczeństwie stanowiska.

Piłka.

Zobacz wysiłki najmłodszego, by ją ująć z ziemi, by w zamierzonym kierunku kulać po podłodze.

Zobacz mozolne ćwiczenia starszego, by chwytać prawą i lewą ręką, odbić kilkakrotnie o ziemię, o ścianę, podbić palantem, trafić do celu. Kto najdalej, kto najwyżej, kto najcelniej, kto największą ilość razy? Emulacja, poznawanie swej wartości przez porównanie, triumfy i porażki, doskonalenie się.

Niespodzianki częstokroć o charakterze komicznym. Już trzymał, a wysliznęła się; odbiła się o jednego i wpadła drugiemu prosto w ręce; chwytając stuknęli się głowami; wpadła pod szafę i sama pokornie wychodzi.

Wzruszenia. Upadła na trawę, ryzyko podjęcia. Zginęła, poszukiwania. Omal szyby nie wybiła. Wleciała na szafę, jak ją zdjąć? — narada. Uderzył, czy nie? Kto winien: ten, co krzywo rzucił, czy ten, który nie złapał? Ożywiony spór.

Indywidualne urozmaicenia. Zwodzi: udaje, że rzuci; celuje w jednego, a w drugiego bije; schował zręcznie, niby że nie ma. Dmucha w rzuconą piłkę, żeby prędzej leciała; niby się przewrócił przy chwytaniu; próbuje łapać ustami; udaje, że się boi, gdy do niego rzucają; udaje, że go mocno uderzyła. Biję piłkę: „Ty, piłka, ja ci dam!” „Tam coś stuka w piłce”, potrząsają, słuchają.

Są dzieci, które same nie grając lubią się przyglądać jak dorośli grającym w bilard czy w szachy. I tu są ruchy ciekawe, błędne i genialne.

Celowość ruchu to tylko jedna z wielu cech czyniących ten sport miłym.

74. Zabawa jest nie tyle żywiołem dziecka, ile jedyną dziedziną, gdzie mu zezwalamy na inicjatywę w węższym lub szerszym zakresie. W zabawie dziecko czuje się do pewnego stopnia niezależnym. Wszystko inne jest przelotną łaską, chwilową koncesją, do zabawy dziecko ma prawo.

Bawiąc się w konie, wojsko, zbójów, straż ogniową ono wyładowuje energię w pozornie celowych ruchach, chwilowo ulega złudzeniu lub świadomie ucieka od szarzyzny istotnego życia. Dzieci dlatego tak cenią udział rówieśników o żywej wyobraźni, wielostronnej inicjatywie, zapasie poczerpniętych z ksiązek motywów, tak pokornie ulegają ich częstokroć despotycznej władzy, że dzięki nim mgliste urojenie przybiera się snadniej w pozory rzeczywistości. Dzieci krępują się obecnością dorosłych i obcych, wstydzą się swych zabaw, zdając sobie sprawę z ich nicości

Ile w zabawach dzieci jest gorzkiej świadomości o brakach rzeczywistego życia, ile bolesnej doń tęsknoty!

Kijek nie jest dla dziecka koniem, ono w braku prawdziwego musi się pogodzić z drewnianym. Jeśli na przewróconym krześle płyną po pokoju, to nie jest przejażdżka łódką po stawie.

Gdy dziecko ma w planie dnia kąpiel bez ograniczeń, las z jagodami, wędkę, gniazda ptaków na wysokich drzewach, gołębnik, kury, króliki, śliwki w cudzym sadzie, kwietnik przed domem — zabawa staje się zbędną lub zmienia gruntownie charakter.

Które zamieni żywego psa na wypchanego, na kółkach? Które odda kuca za konia na biegunach?

Ono zwraca się do zabawy pod przymusem, ucieka do niej przed złą nudą, tuli się przed groźną pustką, kryje przed zimnym obowiązkiem. Tak, dziecko woli się nawet bawić niż wkuwać w pamięć formuły gramatyczne lub tabliczkę mnożenia.

Dziecko przywiązuje się do lalki, szczygła, kwiatka w doniczce, bo nie ma jeszcze nic więcej, więzień lub starzec tak samo się przywiązują, bo już nic nie mają. Dziecko bawi się byle czym, by czas zabić, bo nie wie, co robić, bo nie ma nic innego.

Słyszymy, dziewczynka wyklada lalce prawidła dobrego tonu, jak ją poucza i strofuje; ale nie słyszymy, jak w łóżku skarży się przed nią na otoczenie, zwierza się jej szeptem z trosk, niepowodzeń i marzeń.

— Ja ci powiem, lalusiu, tylko nie powtarzaj nikomu.

— Ty dobry, piesku, ja się na ciebie nie gniewam, ty mi nic złego nie zrobiłeś.

Samotność dziecka daje lalce duszę. To nie raj dziecięcy, a dramat.

75. Pastuch woli grę w karty niż piłkę: dość się nabiega goniąc za krowami. Mały sprzedawca gazet lub „uczeń na posyłki” tylko w początkach kariery biegają forsownie; rychło uczą się dozować wysiłek, rozkładając go na dzień cały. Nie bawi się lalką dziecko, które musi piastować niemowlę; przeciwnie, ucieka od przykrego obowiązku.

Więc dziecku niemiła praca? Praca dziecka ubogiego jest utylitarna, nie wychowawcza, nie liczy się z jego siłami ani cechami indywidualnymi. Byłoby śmieszne podawanie za wzór życia biednych dzieci; tu też jest nuda, zimowa nuda ciasnej izby i letnia podwórka czy przydrożnego rowu; ona tylko ma inną formę. Ani oni, ani my nie możemy wypełnić dziecku dnia, by ich szereg, logicznie powiązany, rozwijał barwną treść życia, od wczoraj przez dziś do jutra.

Liczne zabawy dzieci są pracą.

Jeśli we czworo budują szałas, kopią skrawkiem blachy, szkłem, gwoździem, wbijają kołki, wiążą, pokrywają dachem z gałęzi, mchem wyścielając, pracując na przemian z wysiłkiem i milcząco, to ospale, ale projektując ulepszenia rozwijając dalsze plany, dzieląc się wynikami zdobytych spostrzeżeń — to nie zabawa, a nieumiejętna praca niedoskonałymi narzędziami, niedostatecznym materiałem, więc mało owocna, ale zorganizowana tak, że każde, zależnie od wieku, sił, kompetencji, wkłada tyle wysiłku, na ile je stać.

Jeśli pokój dziecinny, wbrew naszym zakazom, tak często bywa warsztatem i składem rupieci, więc materiału do wykonania zamierzonych robót, czy nie w tym kierunku należy zwrócić poszukiwania? Może do pokoju małego dziecka potrzebne nie linoleum, a fura zdrowego żółtego piasku, spora wiązka patyków i taczka kamieni? Może deska, tektura, funt gwoździ, piła, młotek, tokarnia byłyby miłszym podarkiem niż „zabawa”, a nauczyciel rzemiosł pożyteczniejszy niż mistrz gimnastyki czy pianina. Ale trzeba by z dziecinnego pokoju przepędzić szpitalną ciszę, szpitalną czystość i obawę o zadrapanie palca.

Rozumni rodzice z uczuciem przykrości rozkazują: „Baw się” i z bólem słyszą odpowiedź: „Ciągłe się tylko bawić i bawić”. Cóż poczyna, gdy nic innego nie mają?

*Wiele się zmieniło. Gry i zabawy nie są dziś lekceważąco tolerowane, już weszły do programu szkół, coraz głośniejsze żądanie terenów. Zmiany z godziny na godzinę, nie nadąża psychika przeciętnego ojca rodziny i wychowawcy.*

(...)

81. Przystroiliśmy dzieci w uniform dziecięctwa i wierzymy, że nas kochają, szanują, ufają, że są niewinne, łatwowierne, wdzięczne. Gramy bez zarzutu rolę bezinteresownych opiekunów, rozrzewniamy się myślą o ponoszonych ofiarach i rzec można, dobrze nam z nimi do czasu. One zrazu wierzą, potem wątpią, usiłują usunąć zakradające się podstępnie podejrzenia, niekiedy próbują z nimi walczyć, a widząc bezowocność walki zaczynają nas zwodzić, podkupywać, wyzyskiwać.

Wyłudniają prośbę, wdzięcznym uśmiechem, pocałunkiem, żartem, posłuszeństwem, kupują za czynione ustępstwa, z rzadka i taktownie dają do zrozumienia, że mają pewne prawa, niekiedy dokuczliwością wymuszają, niekiedy otwarcie się pytają: „A co w zamian dostanę?”

Sto odmian uległych i zbuntowanych niewolników.

„Nieładnie niezdrowo, grzech. Pani mówiła w szkole. Oj, żeby to mamusia wiedziała”.

„Jak nie chcesz, to możesz sobie iść. Twoja pani taka mądra jak i ty. Niech sobie mama wie: i cóż mi zrobi?”

Nie lubimy, gdy strofowane dziecko mruczy coś pod nosem, bo w gniewie cisną się na usta szczerze słowa, których nie jesteście ciekawi.

Dziecko ma sumienie, ale jego głos milczy w drobnych codziennych utarczkach, natomiast wypływa tajona niechęć do despotycznej, więc niesprawiedliwej władzy silnych, więc nieodpowiedzialnych.

Jeśli dziecko lubi wesołego wujka, to że dzięki niemu ma chwilę swobody, że wnosi życie, że mu dał podarek. A podarek tym cenny, że zaspokoił dawno pieszczone marzenie. Dziecko o wiele mniej ceni prezenty, niż sądzimy, niechętnie przyjmuje od ludzi niemiłych: „Myśli, że łaskę robi”, burzy się, upokorzone.

82. Dorośli nie są mądrzy; nie umieją korzystać ze swobody, którą mają. Tacy szczęśliwi, wszystko mogą kupić, co chcą, wszystko im wolno, a zawsze się o coś złością, o byle co krzyczą.

Dorośli nie wiedzą wszystkiego: często odpowiadają, aby zbyć, albo żartem, albo tak, że nie można zrozumieć; jeden mówi tak, drugi inaczej i nie wiadomo, kto mówi prawdę. Ile jest gwiazd? Jak będzie po murzyńsku: kajet? Jak człowiek zasypia? Czy woda żyje i skąd wie, że jest zero ciepła, że ma się z niej zrobić lód? Gdzie piekło? Jak ten pan zrobił, że w kapeluszu z zegarków ugotowała się jajecznica, i zegarki są całe, i kapelusz się nie zepsuł; czy to jest cud?

Oni nie są dobrzy. Rodzice dają dzieciom jeść, ale muszą dawać, bo byśmy umarli. Na nic dzieciom nie pozwalają, śmieją się, jak coś powiedziec, zamiast wytłumaczyć, umyślnie drażnią, żartują sobie. Są niesprawiedliwi, a jak ich kto oszuka, to mu wierzą. Lubią, żeby im się lizać. Jak są w dobrym humorze, to wszystko wolno, ale jak źli, wszystko im przeszkadza.

Dorośli kłamią. To kłamstwo, że od cukierków robią się robaki, a jak nie jeść, to się Cyganie śnią, a jak się ogniem bawić, to się ryby łowi, a jak się nogami buja, to się diabła kołysze. Oni nie dotrzymują słowa: obiecują, a potem zapominają albo się wykręcają, albo niby za karę nie pozwalają: i tak by nie pozwolili przecież.

Każą mówić prawdę, a jak powiedziec, to się obrażają. Oni są fałszywi: w oczy mówią co innego, a za oczy co innego. Jak kogoś nie lubią, to udają, że lubią. Ciągłe tylko: „Proszę, dziękuję, przepraszam, kłaniam się”, myślałby kto, że naprawdę.

Usilnie proszę zwrócić uwagę na wyraz twarzy dziecka, gdy wesoło biegnie, w zapale powie lub zrobi coś zdrożnego i nagle zostaje ofuknięte brutalnie.

Ojciec pisze; dziecko przybiega z nowiną i chwytą go za rękaw. Ani przeczuwa, że robi się kleks na ważnym dokumencie. Zgromione patrzy pełnym zdumienia wzrokiem: co się nagle stało?

Doświadczenie paru niestosownych pytań, nieudanych żartów, zdradzonych tajemnic, niebacznych zwierzeń uczy dziecko odnosić się do dorosłych jak do oswojonych, ale dzikich zwierząt, których nigdy nie można być dość pewnym.

(...)

105. Trzeba poddać gruntownej rewizji to wszystko, co przypisujemy dziś okresowi dojrzewania, z którym liczymy się poważnie, i słusznie, ale czy nie przesadnie, jednostronnie, a głównie bez podziału wchodzących w jego skład czynników? Czy poznanie uprzednich etapów rozwojowych nie pozwoliłoby obiektywniej przyrzeć się temu nowemu, ale jednemu z wielu okresów niezrównoważenia, o cechach podobnych do uprzednich, odbierając mu niezdrową, tajemniczą wyjątkowość? Czy nie przystroiliśmy nieco sztucznie dojrzewającej młodzieży w taki sam uniform niezrównoważenia i niepokoju, jak dzieci — pogody i bez troski czy nie udziela się jej ta sugestia? Czy nasza bezradność nie wpływa na burzliwość przebiegu? Czy nie zbyt wiele o budzącym się życiu, jutrzni, wiośnie i porywach, a mało faktycznych danych nauki?

Co przeważa: czy zjawisko ogólne bujnego wzrostu, czy tylko rozwoju poszczególnych narządów? Co zależne jest od zmian w systemie krwionośnym, sercu i naczyniach, od upośledzonej czy jakościowo zmienionej oksydacji tkanek mózgu i ich odżywiania, co od rozwoju gruczołów.

Jeśli zjawiska pewne wywołują panikę wśród młodzieży, rażąc boleśnie, zbierając bogate żniwo ofiar, łamiąc szeregi i niosąc zniszczenie, to nie, że tak być musi, ale że tak się dzieje w dzisiejszych warunkach socjalnych, że wszystko sprzyja takiemu przebiegowi i tego ułamka życiowej orbity.

Łatwo poddaje się panice żołnierz znużony; łatwiej gdy nieufnie patrzy na tych, którzy go prowadzą, podejrzewając zdradę lub widząc niezdecydowanie kierowników; jeszcze łatwiej, gdy dręczy go niepokój, niewiedza, gdzie jest, co przed nim, co z boków i za nim; najłatwiej, gdy atak spada niespodzianie. Samotność sprzyja panice, zwarta kolumna, ramię przy ramieniu, wzmacnia spokojną odwagę.

Młodzież znużona wzrostem i samotna, bez rozumnego kierownictwa, zabłąkana w labiryncie życiowych zagadnień, spotyka się nagle z wrogiem mając przesadne pojęcie o jego kruszącej potędze, nie wiedząc, skąd się wzdał, jak się ukryć i bronić.

Jeszcze jedno pytanie.

Czy nie mieszamy patologii okresu dojrzewania z fizjologią, czy poglądu naszego nie zbudowali lekarze, widząc tylko *maturitas difficilis*, dojrzewanie trudne, nienormalne? Czy nie powtarzamy błędu sprzed stu lat, gdy wszystkie niepożądane objawy u dziecka do trzech lat przypisywano ząbkowaniu? Co dziś pozostało z legendy o „ząbkach”, to może za sto lat zostanie z legendy o „dojrzewaniu płciowym”.

106. Badania Freuda nad życiem seksualnym dzieci splamiły dzieciństwo, ale czy nie oczyściły tym samym młodzieży? Rozwianie się ukochanego złudzenia o niepokalanej bieli dziecka rozwiało inne dręczące złudzenie: że nagle „obudzi się w nim zwierzę i rzuci w bagno”. Pomieściłem ten obiegowy frazes, by tym silniej podkreślić, jak fatalistyczny jest nasz pogląd na ewolucję popędu tak związanego z życiem jak wzrost.

Nie jest plamą mgławica rozproszonych uczuć, którym tylko świadoma lub bezwiedna deprawacja nadaje kształt przedwcześnie; nie jest plamą i nikle zrazu „coś”, które powoli i w ciągu szeregu lat coraz wyraźniej zabarwia uczucia dwu płci aż do chwili, gdy w momencie dojrzałości popędu i zupełnej dojrzałości narządów nastąpi poczęcie nowej żywej istoty, następcy w szeregu pokoleń.

Dojrzałość płciowa: ustrój gotów, by bez szkody dla własnej pomyślności dać zdrowego potomka.

Dojrzałość p o p ę d u płciowego: wyraźnie skryzalizowane pożądanie normalnego połączenia z osobnikiem odmiennej płci.

U młodzieży męskiej życie płciowe rozpoczyna się niekiedy wcześniej nawet niż dojrzeje popęd; u dziewcząt wikła się zależnie od przypadku małżeństwa lub gwałtu.

Zagadnienie trudne, ale tym nierozumniejsza jest bez troska, gdy dziecko nic nie wie, i nadąsane, gdy się czegoś domyśla.

Czy nie dlatego odpychamy je brutalnie, ilekroć pytanie jego wkracza w zakazaną dziedzinę, by onieśmielone w przyszłości nie odważyło się zwracać, gdy nie tylko przeczuwać, ale i odczuwać zacznie?

107. Miłość. Wzięła ją w arendę sztuka, przypięła skrzydła, a na nie zarzuciła kaftan wariata, na przemian kłękała przed nią i prała po pysku, sadzała na tronie i kazała na rogu ulicy kiwać na przechodniów, popełniała sto nonsensów adoracji i pohańbień. A łysa nauka, włożywszy na nos okulary, wtedy uznawała ją za godną uwagi, gdy mogła badać jej ropnie. Fizjologia miłości ma tylko jednostronne: „Służy do zachowania gatunku”. Tego trochę za mało, za ubogo. Astronomia wie więcej niż to, że słońce świeci i grzeje.

I stało się, że miłość jest na ogół brudna i narwana, a zawsze podejrzana i śmieszna. Godne szacunku jest tylko przywiązanie, które zawsze przychodzi po wspólnym urodzeniu prawego dziecka.

Więc śmiejemy się, gdy sześciolatek oddaje dziewczynce własnego pół ciastka; śmiejemy się, gdy dziewczynka piecze raka w odpowiedzi na ukłon uczniaka. Śmiejemy się zdybawszy sztubaka, gdy wpatruje się w jej fotografię; śmiejemy się, że skoczyła, by otworzyć drzwi korepetytorowi brata.

Ale marszczymy czoło, gdy on i ona jakoś za cicho się bawią lub mocując się przewrócili na ziemię zdyszani. Ale wpadamy w gniew, gdy miłość córki lub syna staje w poprzek naszym zamiarom.

Śmiejemy się, bo daleko, chmurzymy, bo się zbliża, oburzamy, gdy psuje rachunek. Ranimy dzieci drwiną i podejrzeniem, bezczęścimy uczucie nie dające dochodu.

Więc kryją się, ale kochają.

Kocha ją, bo ona nie taka gęś jak wszystkie, bo wesola, bo nie kłóci się, bo ma rozpuszczone włosy, bo nie ma ojca, bo taka jakaś miła.

Kocha go, bo on nie taki jak wszystkie chłopaki, bo nie łobuz, bo śmieszny, bo mu się oczy świecą, bo ma ładne imię, bo taki jakiś miły. Kryją się i kochają.

Kocha ją, bo podobna do anioła na obrazie w bocznym ołtarzu, bo ona czysta, a on był umyślnie na jednej ulicy, by zobaczyć „taką” przed bramą.

Kocha go, bo on zgodziłby się ożenić pod jednym warunkiem: rozbierać się w tym samym pokoju — przenigdy. Całowałby ją dwa razy na rok w rękę, a raz naprawdę.

Doznają wszystkich uczuć miłości prócz jednego, którego brutalne podejrzenie dźwięczy w szorstkim:

„ — Zamiast romansować lepiej byś... Zamiast sobie miłościami głowę zawracać byłoby lepiej...”

Dlaczego wyśledzili i szczują?

Czy źle, że kocha? Nawet nie kocha, a tylko bardzo lubi. Czy więcej od rodziców? Może to właśnie jest grzechem?

Jeśliby ktoś musiał umrzeć? Boże, przecież ja proszę o zdrowie dla wszystkich!

Miłość w okresie dojrzewania nie jest niczym nowym. Jedni kochają już dziećmi będąc, drudzy jako dzieci już drwią z miłości.

— Ona jest twoja facetka; czy ona ci pokazała?

I chłopiec chcąc dowieść, że nie ma facetki, umyślnie jej nogę podstawia albo pociąga boleśnie za warkocz.

Czy wybijając z głowy przedwczesną miłość nie wbijamy przedwczesnej rozpusty?

108. Okres dojrzewania, jak gdyby wszystkie poprzednie nie były też dojrzewaniem stopniowym, raz wolniejszym, raz żywszym. Przyjrzyjmy się krzywej wagi, a zrozumiemy znużenie, niezgrabność, lenistwo, zadumania półsenne, zwiewne półtony, bladeść, ospałość, brak woli, kapryśność, niezdecydowanie cechujące ten wiek, powiedzmy — dużego „niezrównoważenia” — dla odróżnienia go od uprzednich.

Wzrost jest pracą, ciężką pracą ustroju, a warunki życia nie złożą w ofierze ani jednej szkolnej godziny, ani jednego dnia fabrycznego. A jak często przebiega jako stan bliski choroby, bo przedwczesny, bo zbyt nagły, bo z uchyleniem od normy.

Pierwszy period jest dla dziewczyny tragedią, bo ją wyuczono przerażenia na widok krwi. Rozwój piersi ją smuci, bo nauczono wstydzić się swej płci, a piersi demaskują, wszyscy wokoło wiedzieć będą, że jest dziewczyną.

Chłopiec, który fizjologicznie przeżywa to samo, psychicznie inaczej reaguje. On czeka z utęsknieniem na pierwszy mech wąsów, bo mu to zapowiada, obiecuje, i jeśli się wstydzi piejącego głosu i wiatrakowatych rąk, to — że jeszcze nie gotów, że jeszcze musi czekać.

Czy nie dostrzeżliście zazdrości i niechęci upośledzonych dziewcząt do uprzywilejowanych chłopców? Tak, dawniej, gdy ją karano, był zawsze bodaj cień winy, a tu, czym winna, że nie jest chłopcem?

Dziewczęta wcześniej zaczynają się przeobrażać i radośnie manifestują ten swój jedyny przywilej.

„Ja jestem prawie dorosła, a ty jeszcze smarkacz. Ja za trzy lata mogę już wyjść za mąż, ty wciąż będziesz siedział nad książką”.

Miły towarzysz zabaw dziecięcych otrzymuje wzgardliwy uśmiech.

„Wyjdiesz za mąż, ale czy ciebie kto weźmie? Ja bez małżeństwa zyskuję prawa”.

Ona wcześniej dojrzewa do miłości, on do miłości, ona do małżeństwa, on do knajpy, ona do macierzyństwa, on do szepiania się z samica „na wzór much — mówi Kuprin — co na sekundę

zlepily się na ramie okiennej, a potem w głupowatym zdziwieniu poskrobały się łebkami po karku i rozleciały na wieki”.

Nowe zabarwienie otrzymuje teraz dawna niechęć dwu płci, by niezadługo znów zmienić oblicze, gdy ona się kryje, on na nią poluje, by utrwalić się w wrogim stosunku do małżonki, która mu jest ciężarem, odbiera mu przywileje, sama je zyskując,

109. Fatalne zabarwienie otrzymuje dawna tajona niechęć do otoczenia dorosłych.

Zjawisko tak częste: dziecko zawiniło, stłukło szybę. Powinno mieć poczucie winy. Gdy mu czynimy słuszne wymówki, rzadziej spotykamy skruchę niż bunt, gniew w zmarszczonych brwiach, spojrzeniach spode łba rzucanych. Dziecko chce, by wychowawca właśnie wtedy okazał mu życzliwość, gdy winne, gdy złe, gdy je spotkało nieszczęście. Zbita szyba, wylany atrament, podarte ubranie to nieudane przedsięwzięcie, choćby wbrew ostrzeżeniu czynione, A dorośli, straciwszy w złe obliczonej imprezie, jak przyjmą dąsy, gniew i połajania?

Ta niechęć do surowych i bezwzględnych panów istnieje wówczas, gdy dziecko uważa dorosłych za istoty wyższe od siebie. Nagle chwytą ich na gorącym uczynku.

„Aha, więc to tak, więc to jest ta wasza tajemnica, więc ukrywaliście, a było się czego wstydzić”.

Słyszało i dawniej, ale nie wierzyło, miało wątpliwości, nie obchodziło go to. Teraz chce wiedzieć, ma się od kogo dowiedzieć, potrzebna mu ta wiadomość do walki z nim, wreszcie samo czuje się już wplątane w tę sprawę. Dawniej było: „Tego to nie wiem, ale to wiem z pewnością”, teraz wszystko jest jasne.

„Więc można chcieć, a nie mieć dzieci, więc dlatego może panna mieć dziecko, więc można nie rodzić, jeśli się nie chce, więc za pieniądze, więc choroby, więc wszyscy?”

A oni żyją i nic, oni się między sobą nie wstydzą.

Ich uśmiechy, spojrzenia, zakazy, obawy, zakłopotanie, półsłówka, wszystko niejasne dawniej, staje się teraz zrozumiałe i wstrząsająco prawdziwe,

„Więc dobrze, porachujemy się”. Nauczycielka polskiego strzela oczami do matematyka.

„Chodź, coś ci powiem do ucha”.

I śmiech złego triumfu, i podglądanie przez dziurkę od klucza, i rysunek gorejącego serca na bibule albo na tablicy.

Stara się wystroiła. Stary się mizdrzy. Stryj bierze pod brodę i mówi: „A to smarkacz dopiero”. Nie, już nie smarkacz — „Ja wiem”.

Oni jeszcze udają, jeszcze próbują kłamać, więc tropić, demaskować oszustów, mścić się za lata niewoli, za kradzioną ufność, za wymuszone pieszczoty, za wyłudzone zwierzenia, nakazany szacunek.

Szanować? Nie, pogardzać, drwić, pamiętać. Walczyć z nienawistną zależnością.

„Nie jestem dzieckiem. Co myślę, to moja rzecz. Trzeba mnie było nie rodzić. Zazdrości mi mama? Dorośli też nie tacy święci”.

Lub udawać, że się nie wie, korzystać, że otwarcie nie odważą się powiedzieć, i tylko drwiącym spojrzeniem i półuśmiechem mówić: „Wiem”, gdy usta mówią: „Nie wiem, co w tym złego, nie wiem, czego chcecie”.

110. Należy pamiętać że dziecko jest niekarne i złośliwe, nie dlatego, że „wie” ale że cierpi. Pogodna pomyślność jest pobłażliwa, gdy drażliwe znużenie zaczepne i drobiazgowie.

Byłoby błędem sądzić, że rozumieć to znaczy unikać trudności. Ile razy wychowawca współczując musi tłumić swe dobre uczucia, musi poskramiać wybryki, by zachować karność czynów dziecka, choć nie ma jej w myślach. Tu wystawione bywa na ciężką próbę duże przygotowanie naukowe, duże doświadczenie i równowaga.

„Ja rozumiem i przebaczam, ale ludzie, świat nie przebaczą”.

„Na ulicy musisz się zachować przyzwoicie, powściągać od zbyt burzliwych przejawów wesołości, nie dawać ujścia atakom gniewu, powstrzymywać się od uwag i sądów, starszym okazywać szacunek”.

Bywa trudno, ciężko przy dobrej woli i myślowym wysiłku; a czy dziecko znajduje warunki bezstronnego rozważania w domu rodzinnym?

Jego lat szesnaście, to rodziców lat z górą czterdzieści, wiek bolesnych refleksji, niekiedy ostatni protest własnego życia, chwila, gdy bilans przeszłości wykazuje wyraźny deficyt.

— Co ja mam z życia? — mówi dziecko.

— A co ja miałam?

Przeczenie mówi, że na loterii życia i ono nie wygra, ale myśmy już przegrali, gdy ono ma nadzieję i dla tej złudnej nadziei rwie się w przyszłość, nie dostrzegając, obojętne, że nas grzebie.

Czy pamiętacie chwilę, gdy gaworzeniem zbudziło was ze snu wczesnym rankiem? Wtedy zapłaciliśmy sobie za trud pocałunkiem. Tak, za piernik otrzymywaliśmy klejnot uśmiechu wdzięcznego. Pantofelki, kapturek, śliniaczek — takie to wszystko tanie, miłe, nowe, ucieszne. A teraz drogie wszystko, niszczy się szybko, a w zamian nic, nawet dobrego słowa. Ile toto zedrze zelówek w pogoni za ideałem, jak szybko wyrasta nie chcąc nosić na wyrost.

— Masz na drobne wydatki...

Musi się zabawić, ma swoje małe potrzeby. Przyjmuje z oschłym przymusem jak jałmużnę od wroga.

Ból dziecka boleśnie uraża ból rodziców, cierpienie rodziców niebacznie uderza w ból dziecka. Jeśli starcie jest tak silne, o ile byłoby silniejsze, gdyby dziecko wbrew naszej woli, samo w samotnym wysiłku nie przygotowało się z wolna, że nie jesteśmy wszechmocni, wszechwiedzący i doskonali.

## KOSZAŁKI-OPAŁKI (Z *Wyboru pism* Janusza Korczaka, tom I)

### PIEŚŃ WIOSENNA

Jest w duszy ludzkiej jedna, srebrna struna, na której jeden mistrz tylko — jedną pieśń doroczną wygrać potrafi. Mistrzem tym jest Wiosna; pieśnią tą jest Miłość...

Siedziałem na ławce w Alejach i patrzyłem na lekliwe główki zielonych, świeżą, jasną zielenią — listków. Patrzyłem na zwawą krzątanicę ludzi i ptasząt — i taka rzewność opanowała mą duszę, że pragnąłem całować wróbelki i ludzi...

Może ja to nie dość poetycznie opisałem, bo to nie moja specjalność, w każdym jednak razie czułem wielką życzliwość dla wszystkiego, co żyje i rusza się na świecie.

Usiadł obok mnie na ławce człowiek o bardzo niemilej powierzchowności, Opasły, o twarzy bezmyślnej, zmysłowej, mocno sapiący, z oczami bez wyrazu.

I poczułem nagle, że go kocham,

— Panie — rzekłem — nie wiem, czy pan mnie zrozumie. Widzi pan: oto słońce spływa ciepłymi promieniami i natura budzi się do życia. A wraz z tym nowym życiem wkradła się do mego serca miłość. Jesienią może bym na pana nie zwrócił uwagi, ale teraz oto kocham pana. Cóż z tego, że masz niemily wyraz twarzy; jeżeli jesteś pan głupi i zły, to nie twoja w tym wina. Daj mi dłoń swoją i opowiedz mi o swojej żonie i dzieciach, zwierz mi się z trosk swych i smutków.

— Ależ ja pana nie znam — rzekł nieznajomy, odsuwając się i chwytając za boczną kieszeń marynarki.

Dostrzegłem ten ruch nieufny i gorycz zalała mą duszę.

— Ach — powiedziałem z wyrzutem — masz mnie pan za złodzieja kieszonkowego; tak mi odpłacasz za me szczere, z serca płynące wyrazy?

— Szczere czy nieszczerze, a ja z obcymi ludźmi nie wdaję się w poufałe gawędy.

Wstał i poszedł.

„Biedny!” — pomyślałem i lzy stanęły mi w oczach. Po chwili jakaś wiekowa dama zajęła miejsce obok mnie na ławce.

„Ta mnie zrozumie” — pomyślałem.

— Pani — zacząłem. — Masz siwe włosy. Kocham cię za ten kontrast, który stanowi biel twoich włosów z zielenią wiosny. Kocham cię, pani, za te zawody, które w życiu przeżyłaś, za ten spokój, który maluje się na twym obliczu.

(Na obliczu matrony malował się żywy niepokój).

— Pani, mam do ciebie prośbę: ucałuj me czoło i pobłogosław mnie. Zdaje mi się, że twój pocałunek uczyni mnie dobrym, a twoje błogosławieństwo wskaże mi prawą drogę życia i zabezpieczy od pokus. Powiedz mi: „Synu, bądź cierpliwy i mężny”.

Matrona drżącymi wargami dotknęła mego czoła i wzniosłszy dłoń drżąca, rzekła drżącym głosem:

— Synu, bądź cierpliwy i mężny.

— O tak! — zawołałem radośnie — będę cierpliwy i mężny, matko moja. Prawda, że pani pozwoli mi nazywać się matką?

W tej chwili zbliżyli się do siwej damy mężczyzna młody i kobieta — zapewne małżeństwo.

— Ach! jak to dobrze, że jesteście — krzyknęła radośnie staruszka. — Chodźcie, chodźcie stąd... Do widzenia panu.

Szybko się oddalili, przy czym matrona coś im żywo opowiadała. Potem wszyscy troje obejrżeli się, ogarnęli mnie pełnym współczucia wzrokiem, pokiwali smutnie głowami i poszli dalej.

Nie mogłem mieć wątpliwości: sądzili, że jestem nerwowy.

I gorycz zalała mą duszę, i łzy stanęły mi w oczach...

Po chwili siadł na mej ławce młodzieniec lat dwudziestu kilku, o żywych, rozumnych oczach, niedbałych ruchach, niedbale ubrany — jeden z tych, którzy mi najbardziej do gustu przypadają.

— Czy zechce pan ze mną porozmawiać? — zacząłem tym razem już ostrożniej. — Pan jest sam i ja jestem samotny. Nie wymieniamy swych nazwisk, bo i po co? Oto wiosna, słońce, zieleń młoda, wróbelki... Wiem, że jedne uczucia grają teraz w naszych sercach. Gdy się widzi to młode życie, gdy się widzi tyle blasku, trzeba koniecznie kochać. My, mieszkańcy miast, tak mało przestając z naturą, zasypani gryzącym pyłem ulicznym, otuleni trującym oddechem fabryk — zatraciliśmy poczucie życzliwości dla ludzi. Ja gorąco pragnąłbym tak szczerze porozmawiać z kimś, znaleźć w sercu bratnim oddźwięk bratni...

— Tak — przerwał mi młodzian — to wszystko bardzo piękne, co pan mówi, ale ja mam zwyczaj dobrze poznać człowieka, zanim mówić z nim zacznę. Nie wiem, kto pan taki, czy modernista, czy secesjonista, czy biały, czy czerwony.

— Ach, tak... Ja jestem w kratkę — rzekłem z bolesną ironią

— A ja się boję ludzi w kratkę — rzekł. Wstał i poszedł.

I gorycz zalała mą duszę.

„Więc na to, by ktoś życzliwy dłoń ci uściśnął — nie dość być człowiekiem o miłującym sercu; więc na to trzeba wywiesić koniecznie szyld swoich przekonań i upodobań artystycznych, społecznych, politycznych i wszelkich innych. Jak bardzo odbiegliśmy, a może dopiero dobiegamy do tego okresu, gdy słońce będzie tulić bratnie serca ludzkie”.

I łzy stanęły mi w oczach.

I przez łzy zobaczyłem chłopaczka, pięcioletniego może, który mi się przyglądał.

— Jak się nazywasz, malutki? — zapytałem.

— Janek — odpowiedział malec.

— Powiedz mi, Janku — nawiązałem rozmowę — czy ty także masz w swym małym serduszku kasztę, gdzie ludzie jak czcionki drukarskie posortowani, są podług kolorów, zabarwień i odcieni?...

— Mój tatuś ma taką samą laskę jak pan — odpowiedział malec.

— O dziecię — mówiłem — to naiwne zdanie starczy mi za odpowiedź. Ty dzielisz ludzi tylko na dobrych i złych, których odróżniasz proroczą intuicją dziecka. Ale przyjdzie życie i nauczy cię...

— Mamusia wyrzuciła mademoiselle, bo ona poszła i nie wróciła na noc — zaszczebiotał Janek.

— Tak, moje dziecko, tak.

I taka żałość ogarnęła mną, że malca pocałowałem w czoło,

W tej chwili zbliżyła się ku nam niewiasta.

— Janek, chodź mi zaraz... Jakim prawem pan mi dziecko liże?

— Pocałowałem je w czoło.

— To jest brutalna niedelikatność — obce dziecko całować... Zarazisz mi pan dzieciaka i unieszczęśliwisz na całe życie!

Janek dostał w kark, mnie łzy w oczach stanęły. I mimo goryczy, która duszę mą przepełniła — przyznałem matce słuszość. Ona mnie nie zna...

Usiadła obok mnie dziewczyna upudrowana.



— Czy można do pani przemówić? — zapytałem. — Oj, oj! — odparła i przysunęła się bliżej.

— Powiedz mi — zacząłem smutnie — powiedz mi, czy ta świeżość budzącej się do nowego życia natury nie przypomina ci twego dzieciństwa? Gdyś była mała i czysta, gdyś tuliła białe czoło do ust swojej matki? Gdyś nie wiedziała, że są źli ludzie na świecie, że tyle brudu i krzywdy szerokim korytem niesie mętna fala życia? Oto budzi się w duszy twej echo odległych wspomnień i zapomnianych żalów.

— Pewnie, że się budzi — odparła smętnie — ale może by mi pan tak fundnął kolację, co?

— Przenigdy — odparłem mrocznie — czyż chcesz, bym smrodliwymi wyziewami garkuchni ploszył błękit mych wiosennych dumań? Przenigdy, jednak: gotów ci jestem wybaczyć ten brutalny okrzyk, mącający niezamąconą jasność tych tonów, które wiosna na srebrnej strunie mej duszy wygrywa. O biedna, upadła istoto, pogrążona...

— Na trajlowanie mnie pan nie weźmiesz, bom nie frajerka... Patrzajcie go...

Wstała oburzona, a odchodząc rzuciła mi na pożegnanie jeden wyraz:

— Idiota.

I gorycz zalała mą duszę. I wiosnie posłałem wyrzut bolesny,

— O wiosno, czemu kłamiesz?...

Aż oto usiadło na mej ławce dwoje dziewczątek. Uśmiech krasił im lica, rumieniec umajał wesole twarzyczki. Rozmowa ich musiała być zwierzeniami, bo szeptały cicho, a zwierzenia były zapewne radosne, bo śmiały się bezustannie.

Jasne promienie słońca, zieleń młodych listków, wróbelki i te dwie wiosniane postacie — tworzyły sielankę.

I w sercu mym głośniejsz zadzwoniła moja pieśń słoneczna.

— Miłe dziewczątka — szepnąłem nieśmiało — pozwólcie mi skostniałe w szronie życia serce rozgrzać w promieniach waszej majowej swobody. Niech odtają sople życiowych zawodów mej duszy, niech pod czarodziejskim blaskiem młodości waszej zatli się w mym sercu iskierka dawnych nadziei i mistycznych rojeń. Rozmawiajcie głośno, a ja siedzieć będę cichutko i słuchać będę, a może z suchego oka łza rozrzewnienia spłynie i zrosi pożałdowane troską czoło.

Wiedziałem, że łza nie może spływać na czoło, ale wiedziałem także, że nie przysłuchuje mi się czułe ucho przeżytego krytyka, lecz młodość świeża zielonych listków, słońce, wróbelki i... owe dziewczątka.

Patrzyły na mnie rozrzewnione, strwożone.

Gdy nagle zbliżył się krokiem zamaszystym mężczyzna w sile wieku i ilustrując pełne grozy wyrazy silnym potrząsaniem grubej laski, rzekł:

— W biały dzień, o trzy kroki od rodziców, żeby zaczepiać niedorostków — na to trzeba być cynikiem w najgorszym gatunku. Maniu, Zosiu — wracamy do domu; dosyć tych spacerów...

Załała srebrna struna ostatnim jęklwym akordem i skołała moja wiosenna pieśń miłości.

Słońce w dalszym ciągu świeciło na niebie bez chmur, ale już mi ludzie nie byli braćmi, niczyjego serca życzliwego nie pragnąłem...

O pieśni! Uczyniłaś mnie złodziejem kieszonkowym, nerwowym, agentem śledczym, trędowatym, idiotą i cynikiem, bom się garnął do ludzi...

Gdybym był modernistą, zakończyłbym niniejsze opowiadanie tak:

„Czarny kot... Oko Ramzesa... Hydra... Cykuta... Życie... Siedziałem na ławie samotny jak piorun... Słońce sypało na mnie sadze zwątpienia”.

I byłby spokój.

## *Z myśli Janusza Korczaka*

*Zreformować świat - to znaczy zreformować wychowanie.*

*Wychowywać – znaczy chować, chronić, ukrywać przed krzywdą i szkodą zabezpieczyć.*

*Dobry wychowawca, który nie wtłacza a wyzwala, nie ciągnie a wznosi,  
nie ugniata a kształtuje, nie dyktuje a uczy, nie żąda a zapytuje – przeżyje wraz z dziećmi  
wiele natchnionych chwil.*

*Duch tęskni w ciasnej klatce ciała. Ludzie czują i rozważają śmierć pod kątem końca,  
a jest ona tylko dalszym ciągiem życia, innym życiem.*

*Jestem nie po to, aby mnie kochali i podziwiali, ale po to, abym ja działał i kochał.  
Nie obowiązkiem otoczenia pomagać mnie, ale ja mam obowiązek troszczenia się  
o świat, o człowieka.*

*Nie takie ważne, żeby człowiek dużo wiedział, ale żeby dobrze wiedział,  
nie żeby umiał na pamięć,*

*a żeby rozumiał, nie żeby go wszystko troszkę obchodziło, a żeby go coś naprawdę  
zajmowało.*

*W zmęczeniu hartuję się i dojrzewam.*

*Żyjemy pospiesznie, niedbale, powierzchownie, partacko.*

---

### **Wybrane książki o Januszu Korczaku:**

Stefan Wołoszyn, *Korczak*, Wiedza Powszechna, 1978

Kazimierz Dębnicki, *Korczak z bliska*, LSW, 1985

Aleksander Lewin, *Korczak znany i nieznan*, wyd. Ezop, 1999

Igor Newerly, *Żywe wiązanie*, Czytelnik, 2001

Hanna Kirchner, *Janusz Korczak, pisarz-wychowawca-myśliciel*,  
Instytut Badań Literackich, 1997

Joanna Olczak-Ronikier, *Korczak. Próba biografii*, W.A.B., Warszawa 2011

## **Janusz Korczak: Prośba dziecka**

- 1) *Nie psuj mnie. Dobrze wiem, że nie powinienem mieć tego wszystkiego, czego się domagam. To tylko próba sił z mojej strony.*
- 2) *Nie bój się stanowczości. Właśnie tego potrzebuję - poczucia bezpieczeństwa.*
- 3) *Nie bagatelizuj moich złych nawyków. Tylko ty możesz pomóc mi zwalczyć zło, póki jest to jeszcze w ogóle możliwe.*
- 4) *Nie rób ze mnie większego dziecka, niż jestem. To sprawia, że przyjmuję postawę głupio dorosłą.*
- 5) *Nie zwracaj mi uwagi przy innych ludziach, jeśli nie jest to absolutnie konieczne. O wiele bardziej przejmuję się tym, co mówisz, jeśli rozmawiamy w cztery oczy.*
- 6) *Nie chroń mnie przed konsekwencjami. Czasami dobrze jest nauczyć się rzeczy bolesnych i nieprzyjemnych.*
- 7) *Nie wmawiaj mi, że błędy, które popełniam, są grzechem. To zagraża mojemu poczuciu wartości.*
- 8) *Nie przejmuj się za bardzo, gdy mówię, że cię nienawidzę. To nie ty jesteś moim wrogiem, lecz twoja miazdząca przewaga !*
- 9) *Nie zwracaj zbytnej uwagi na moje drobne dolegliwości. Czasami wykorzystuję je, by przyciągnąć twoją uwagę.*
- 10) *Nie zrzedź. W przeciwnym razie muszę się przed tobą bronić i robię się głuchy.*
- 11) *Nie dawaj mi obietnic bez pokrycia. Czuję się przeraźliwie tłamszony, kiedy nic z tego wszystkiego nie wychodzi.*
- 12) *Nie zapominaj, że jeszcze trudno mi jest precyzyjnie wyrazić myśli. To dlatego nie zawsze się rozumiemy.*
- 13) *Nie sprawdzaj z uporem maniaka mojej uczciwości. Zbyt łatwo strach zmusza mnie do kłamstwa.*
- 14) *Nie bądź niekonsekwentny. To mnie oglupia i wtedy tracę całą moją wiarę w ciebie.*
- 15) *Nie odtrącaj mnie, gdy dręczę cię pytaniami. Może się wkrótce okazać, że zamiast prosić cię o wyjaśnienia, poszukam ich gdzie indziej.*
- 16) *Nie wmawiaj mi, że moje lęki są głupie. One po prostu są.*
- 17) *Nie rób z siebie nieskazitelnego ideału. Prawda na twój temat byłaby w przyszłości nie do zniesienia. Nie wyobrażaj sobie, iż przepraszając mnie stracisz autorytet. Za uczciwą grę umiem podziękować miłością, o jakiej nawet ci się nie śniło.*
- 18) *Nie zapominaj, że uwielbiam wszelkiego rodzaju eksperymenty. To po prostu mój sposób na życie, więc przymknij na to oczy.*
- 19) *Nie bądź ślepy i przyznaj, że ja też rosnę. Wiem, jak trudno dotrzymać mi kroku w tym galopie, ale zrób, co możesz, żeby nam się to udało.*
- 20) *Nie bój się miłości. Nigdy.*



*Dokąd z dziećmi odchodzisz współczesny Sokratesie?  
Któryś zmyślał baśnie, sam stałeś się legendą.  
Któryś oszukał dzieci, że śmierć je rychła nie czeka,  
Tobie dobroć i męstwo śmiertelną koszulę przędą  
I pamięć o Tobie wzbiera jak rozlewiska rzeka.*

*Włodzimierz Słobodnik, 1975*

